Nr. 16. Warszawa, dnia 21 (9) Kwietnia 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ODPOCZYNEK W UZBROJENIACH.

Paryzki korespondent *Timesa* tyle już puścił w świat kaczek własnego chowu, że ostatnia jego nowina o zamiarze powszechnego rozbrojenia nie znalazła wiary. P. Blowitz improwizuje — powtarzano wszędzie. Czy to jednakże skutkiem braku materyału politycznego, czy też skutkiem jakichś znaków, potwierdzających to doniesienie, zaczęto o niem rozprawiać w ubiegłym tygodniu. Znaleźli się nawet korespondenci, którzy z innych a „wiarogodnych“ źródeł wydobyli tę samą wiadomość. Opowieść w głównej swej osnowie brzmi tak: Cesarz Wilhelm, widząc rzeczywistą trudność wynalezienia środków na pokrycie kosztu nowo-utworzonych (zeszłego roku) pułków, powziął myśl zaproponowania mocarstwom częściowego rozbrojenia się na pewien przeciąg czasu. Z tą myślą pojechał do Wenecyi, gdzie ją rozważył z królem włoskim a następnie do Wiednia, gdzie o rezultacie tej narady uwiadomił cesarza austryackiego. Legenda nie mówi, czy sojusznicy zgodzili się na jedno, ale wydaje się jej to bardzo prawdopodobnem, gdyż Włochy stoją na krawędzi bankructwa, Austrya zaś czuje niemożność dalszego przykręcania szruby podatkowej, oba więc te państwa pragnęłyby co najmniej tak odpocząć w uzbrojeniach, jak Niemcy. Właściwie projekt nie ma zalecać rozbrojenia, ale kilkoletnią przerwę w uzbrojeniach, tak że mocarstwa pozostałyby z tą siłą wojskową, którą obecnie posiadają.

Chociażby powyższa opowieść była zupełną bajką, przyznać trzeba jej autorom, że wysnuli ją logicznie z obecnego położenia Niemiec. Istotnie położenie to może nasunąć taką ideę. Po długim oporze sejm przyzwolił na powiększenie armii, ale wszelkie pomysły ministra skarbu z celem wynalezienia nowych źródeł podatkowych rozbiły się o niepokonaną opozycyę. Próbowano „upuścić krwi“ — jak mawiał Bismark — tytuniowi, winu, piwu itd., ale żadna z tych operacyj nie pozyskała większości w sejmie. A przecie Miquel ma głowę wynalazczą i wie, gdzie jeszcze można zanurzyć rękę w kieszenie płatnicze. Ostatecznie musiał cofnąć wszystkie swoje projekty i nie umie ich zastąpić innymi. Gdyby przynajmniej był to ostatni wysiłek wojskowo-podatkowy! Ale właśnie w tem bieda, że trzeba go ponawiać ciągle. Niemcy nie mogą sobie powiedzieć, że osiągnęły kres swych uzbrojeń, że dalej nie pójdą, że zatrzymają się w tym ruchu na jakimkolwiek punkcie. Bo gdy one zrobią krok naprzód, inne mocarstwa uczynią to samo, więc znowu trzeba je wyścignąć lub im dorównać. Nie doszedłszy tedy do granicy pomnożenia armii, doszły już prawie do granicy wydobywania środków. Czyż nie logicznie nasuwa się myśl o odpoczynku w uzbrojeniach?

Gazety austryackie i włoskie przyjęły ją życzliwie, francuskie—ośmieszyły, i naturalnie, skoro ona wyszła ze strony Niemiec, mogła tylko zbudzić przekonanie, że nie należy w imię sentymentalizmu pomagać wrogowi do pokrzepienia wyczerpanych sił.

Prasa ruska również uśmiechnęła się wymownie. Znamienne pod tym względem uwagi zamieszcza *Warsz. Dniewnik*: „Przymierze podwójne nie należy do liczby „mocarstw sytych“ (Bismark nazwał Niemcy państwem nasyconem); ani Francya, a tem mniej Rosya nie upada pod brzemieniem powodzeń wojskowych, przeciwnie, dźwigają je mężnie. Co do tej ostatniej, to ona bardzo naturalnie przy swojem zaludnieniu, przeszło dwakroć większem, niż niemieckie, przy swych niezmierzonych bogactwach materyalnych i właściwościach ustroju państwowego, zaledwie uczuwa to wytężenie sił, w którem omdlewają Niemcy. Ze względu na to pozwolimy sobie przypuścić, że jeśli z Berlina rozpocznie się kampania, o której donoszą gazety, Francya i Rosya odpowiedzą na nią: *noli me tangere* (nie dotykaj mnie). Zgodzić się na rozbrojenie, nawet cząstkowe, znaczyłoby to niewątpliwie wrogiemu sojuszowi dać czas do pokrzepienia się i nabrania sił, ażeby on w dogodnej dla siebie chwili przerwał „pokój boży.“

Jeżeli cesarz niemiecki i jego kanclerz poznają te głosy, a nadewszystko te usposobienia, których one są echem, to chyba nie wprowadzą swej idei na drogę układów dyplomatycznych. Polityka może się przyznawać do rozmaitych słabostek, ale żeby ona kiedykolwiek chciała być naiwną, o tem wątpimy. Stanąwszy zaś na stanowisku przeciwwagi potrójnego przymierza, uznamy, że pozwolenie osłabionemu przeciwnikowi, ażeby się wzmocnił przed walką, byłoby wielce naiwnem. Takie zadanie stawiać można tylko w gronie przyjaciół i sojuszników. I dlatego myśl ogólnego rozbrojenia trzeba co prędzej... włożyć między bajki.

Z NIEMIEC.

Berlin, 18 kwietnia.

Z motywów polityki kolonialnej. — Jak pamiętnik zwykłego człowieka staje się dokumentem dziejowym. „Biały“ człowiek w oświetleniu dzikiego „psa.“ — Trójlistek etyczny.

Nowości z Afryki! Znużony pustką życia parlamentarnego, które coraz leniwiej toczy się cieniutką strugą czczych słów, groszowych projektów i osobistych skandalów, wzdycha czytelnik dzienników politycznych chociażby do niedawnych „garnków egipskich“ *Handelsvertragu*, który przez kilka tygodni przynajmniej podniecił opinię publiczną, kazał jej myśleć chyżej i przyśpieszył puls flegmatycznego życia niemieckiego. Mają

już wiadomości „afrykańskie“ powien wyrobiony kurs na giełdzie wrażeń wielkomiejskich. Można z góry przewidzieć, że „nowiny“ będą powtórzeniem tylko dawniej już znanych okrucieństw i rozbojów. Ale nie przytępiły jeszcze zupełnie nerwów naszych i chociażby zeszły wreszcie na stanowisko t. z. *nothartikel*, umieszczanych z braku materyału, chociażby stały się tak popularne, jak bajeczki p.t. „O używaniu przez żydów krwi chrześciańskiej“ itd., to można przewidzieć, że długo jeszcze nie utracą dla nas „uroku nowości.“ Nie dla tego tylko, że są względnie świeższe, że stanowią motyw dziejowy, należący do czasów zupełnie nowożytnych, ale i dla tego, że Afryka pochłania obecnie dużą część „indywidualności“ europejczyka — niemca, francuza, włocha, anglika — i że wskutek tego jest modną. Dla tego także, aczkolwiek już pod datą roku bieżącego, pisaliśmy o cywilizacyjnych zdobyczach Niemiec w Dahomeju, piszemy dzisiaj o rezultatach ich działalności w Kamerunie. Ogłoszony został mianowicie przez *Neue deutsche Rundschau* dziennik pewnego „znanego“ na miejscu niemca, który daje świadectwo takich mordów i grabieży, wobec których milknie zupełnie najbujniejsza nawet fantazya powieściopisarzy z odcinków kuryerowych. Pod dniem 13 marca 1893 r. donosi autor: „Dowiaduję się ciekawych szczegółów o powstaniu Bakoko. Asesor Wehlau, który prowadził ekspedycyę, faktycznie przy paleniu siedzib powstańczych nakazał powiesić kilka starych kobiet. Z mężczyzn nie mógł schwytać żadnego. Resztę łupu wojennego — starców, kobiety i dzieci — spędzono na statek i ranionych, bezsilnych, oplwanych w kajdanach pod chłostą i przy muzyce jęków zagnano do lochu więziennego. Trzech więźniów umarło podobno z głodu u stóp głównego masztu, pod powiewającą nad nimi flagą państwową niemiecką.“ W kilka dni później uzupełnia te dane następującym szczegółem, odnoszącym się do czasu podróży statkiem: „Więźniowie tak silnie przywiązani byli do łańcuchów okrętowych, że w ciele potworzyły się rany, a w tych zaczęło się lądz robactwo.“ Pod datą 4 maja opisuje autor posiedzenie sądu miejscowego. Sądzi ten sam asesor Wehlau. Pewna kobieta (czarna) oskarża swego męża o złe obejście. Bez wszelkich świadków, nie wysłuchawszy oskarżonego, skazuje go na karę 50 batów i wyrok natychmiastowo zostaje wykonanym. Czarny, August Bell, jest oskarżony o kradzież zegarka. Sędzia oświadcza mu, że istnieje dla niego następująca alternatywa: albo przyzna się do winy, albo w przeciwnym razie otrzyma 50 batów. Bell mówi: „Nie, nie ukradłem zegarka.“ Kara zostaje wymierzoną natychmiastowo przy pomocy „Rhinocerospeitsche.“ Po dokonaniu tego aktu sprawiedliwości, August Bell, wyprowadzony na nowo przed majestat sprawiedliwości, przedstawiał widok, który autor porównywa do obrazu surowego, siekanego befsztyku, a gdy badany na nowo przyznaje się do winy, skazują go na *sześć* lat więzienia, sto marek kary pieniężnej i 15 razów, wymierzanych w pierwszą sobotę każdego miesiąca. Wreszcie zanotujemy jeden jeszcze szczegół z barwnej stronicy pamiętnika. Dnia 2 paźdz. 1893 r. „Wczorajszej nocy obudził mnie przeraźliwy krzyk, pochodzący z więzienia. Gdy długo nie ustawał, wyszedłem i zobaczyłem policyanta sprzeczającego się z trzema czarnymi, którzy nosili liberyę kanclerza Leista — czerwone przepaski na biodrach. Na zapytanie moje usłyszałem odpowiedź, że kanclerz rozkazał przyprowadzić kobietę z więzienia. Wróciłem do domu, ale po niejakim czasie musiałem z powodu nieustającej wrzawy wyjść znowu na werendę: istotnie kilku posługaczów ciągnęło za sobą ryczącą kobietę w stronę domu kanclerskiego. Nazajutrz opowiadali mi czarni: *The Governor wants a woman for...*“

Przytoczyliśmy główniejsze ustępy artykułu, który powtarzają już tutaj od kilku dni pisma wszystkich odcieni. Jeszcze w bieżącej sesyi, być może w najbliższym tygodniu, będzie wiedział o tem parlament; nastąpi interpelacya, przyczem kilku mówców z najlepszych „młynków“ opozycyi znajdzie piękne pole do popisu słownego. Minister oświadczy, że nie ma jeszcze urzędowego raportu, albo w najlepszym razie przyrzecze odwołać rządowych katów afrykańskich. Wszak przed kilku tygodniami wrócił na łono stęsknionej ojczyzny osławiony rzezią kobiet dahomejskich i wspomniany dzisiaj kanclerz Leist. Wróci także Wehlau, asesor, godna latorośl nauki prawniczej, wykonawca testamentu Bluntschlich i Jheringów. Opinia wielkomiejska uspokoi się — aż znowu po kilku miesiącach powtórzy się dosłownie ta sama tragedya. Dlaczegóżby zmienić się miało postępowanie „człowieka kultury“? Wszak sprężyna, puszczająca w ruch cały mechanizm zdobyczy i smutku, działa jak przedtem, reżyser sztuki zostaje ten sam, bezlitośny i wszechpotężny *interes*.

Jest to obrazek typowy, posiadający cechy ogólnej natury. Śród mysiego królestwa drukowanej makulatury nie znajdziesz książki, któraby zachowała wierne odbicie tych wrażeń, jakie nieucywilizowany mieszkaniec leśny nieznanych lądów odbierać musiał w przeciągu kilku stuleci pracy Europy nad ukształceniem biednych swych, światła pozbawionych braci w Adamie. Gdyby oni pisać umieli, gdyby narodził się śród nich kronikarz i upamiętnił te jęki rozpaczne, które szumią w gałęziach lasów dziewiczych, albo płaczą w wichrach jesiennych, gdyby oddał w słowie pożary wiosek ojczystych, herodowe rzezie dzieci bezbronnych i kobiet ciężarnych — cóż to byłaby za książka! Mógłby wtedy dorobić muzykę do słów Las Casasa, niewinnie szkalowanego biskupa hiszpańskiego, który obliczył, że od r. 1552 w przeciągu 40 lat wymordowano w Ameryce 12 milion. tuziemców. Opowiedziałby nam, jak w połowie bieżącego stulecia John Bull kazał „tańczyć na niczem“ (tak się to nazywało w terminologii urzędowej) wieszanym powstańcom indyjskim; jak francuzi płacili za każdą głowę kabyla 10, a za każdą parę uszu sześć franków w gotówce; opowiedziałby o tępieniu „czerwonoskórego robactwa“ i jak giną niekulturalne plemiona indyjskie, przy „zetknięciu się“ z cywilizacyą europejską, jak jeszcze w r. 1876 w Colorado wyznaczano nagrodę kilku tysięcy dolarów za skalpy „czerwonych zwierząt“ — i jak to nazywało się zawsze „światłem kultury i miłości.“ Śród bibliotek całych *Lehr- u. Handbuch*'ów niemieckich nie znajdziesz książki podobnej. W „Dziejach kolonii,“ które od czasu do czasu zjawiają się na rynku księgarskim niemieckim lub angielskim, jak „omawiano“ bywają stronice podobne, z jakim artyzmem umieją pisarze wygładzić zorane sumienie swych rodaków, jak godnie potrafią opuszczać *punkty nad i*, jacy wszyscy wychodzą czyści, niewinni, *biali!* Niekiedy tylko przerywa się różaniec pochwał, nadętej dumy i pychy narodowej i wtedy pękają perełki jedna za drugą, zostawiając po sobie tylko skorupy zwykłego, brudnego szkła.

Pozostawmy na chwilę te rozmyślania, za które niejeden z kolonistów osądziłby

---

1)

JAKO CIEŃ.

przez

Waleryę Marrené Morzkowską.

Wydawała się bardzo spokojna, nawet apatyczna, a życie jej, jak i życie matki, miało jednostajność wskazówek zegaru. Około dziewiątej służąca podnosiła storę w jej oknie. Okno należało do niewielkiego frontowego mieszkania kamienicy, położonej przy końcu jednej z ulic wschodniej dzielnicy miasta.

Naprzeciwko tego domu był parkan, a za parkanem ogród moich rodziców. Pracowali tam oni od świtu do zmroku, ba! często nawet zrywali się w nocy, żeby wyjrzeć, czy niema jakiej szkody.

Kończyłem właśnie szkoły, ale zarówno w wakacye, jako też po przygotowaniu lekcyi, brałem się chętnie do roboty. Mundur rzucałem w kąt i dalejże kopać, sadzić, podlewać.

Miałem z tego powodu grube ręce, ale też rumieńce na twarzy, jakimi moi koledzy pochwalić się nie mogli i taki apetyt, że matka mówiła:

— Ten Antek to nas zje z kretesem.

Ale choć tak mówiła, oczy jej się śmiały, gdy zawijałem co było pod ręką, bo chwała Bogu panował u nas dostatek. Mieliśmy własny ogród, a w nim od wiosny do zimy było co sprzedawać, do tego jeszcze cztery krowy, które dawały tak wyborne mleko, że nieraz matka ukradkiem garnuszek dla nas schowała, bo zawsze wszystko było zamówione i rozebrane.

Nas było troje, ja i dwie młodsze siostry, Kasia i Józia. Obie uczyły się trochę w szkółce, a potem pomagały matce w ogrodzie. Dobre dziewczyny, opalone jak cyganki, a wesołe jak czeczotki. Bo i cegoż im brakło? Nie pamiętam nawet, żeby kiedy które z nas zachorowało. W lecie cały dzień na świeżem powietrzu, czy pogoda, czy słota, w zimie za to mieliśmy w głębi ogrodu wygodny domek, a w nim dużą, ciepłą kuchnię, alkierz rodziców i pokój z kanapą, lustrem, firankami, czyściutki, dla gości. Tam wynosiłem się zwykle ze swemi lekcyami. Nie zabierały mi one wiele czasu.

Chwalono mnie, że miałem pamięć i pojętność. Wiedziałem, że uczyć się trzeba. Miałem też oczy nie dla kształtu, przez sześć ławek mogłem zajrzeć do rozłożonej książki, w ogrodzie też pierwszy dostrzegałem rumieniącą się czereśnię na wierzchołku drzewa, a nawet osę wokoło niej brzęczącą.

Nie dziw więc, że widziałem także panienkę z przeciwka, tembardziej, że zwykle siadywała w oknie dzień cały. Ot jak w wierszu:

> A w oknie siadała, panieneczka biała
> I piosnki śpiewała.

Białą była ona rzeczywiście, białą jak opłatek, tylko nie śpiewała wcale. Przeciwnie, blade jej wargi były zwykle zamknięte, a szare oczy miały wyraz zamyślenia. Najczęściej poruszała powoli szydełkiem i robiła jakieś gwiazdki. Niekiedy siadała przy jej stoliku stara, żółta, skrzywiona jejmość w okularach i rozumiałem, że odbywały się lekcye. Potem obie znikały w głębi pokoju i słychać było stary brzęczący fortepian.

Co prawda, ta muzyka wcale mi się nie podobała. Panienka grała przeważnie gamy, a jeśli potem następował jaki kawałek, trudno było rozpoznać, czy to był walc, czy mazur. Grała powoli, apatycznie jakby ją to wcale nie obchodziło, a palce poruszały się tylko machinalnie.

Nie wiem doprawdy, kiedy ja to wszystko podpatrzyłem, bo przecież pół dnia siedziałem w klasie, a jednak znałem cały tryb życia panienki z drugiego piętra, jakbym nic innego nie robił, tylko ją śledził. Widać takie już miałem oczy.

Patrzyłem na nią, jak na dziwowisko. Żeby też mieć lat piętnaście — wydawała

nas godnymi do przeniesienia się na łono głupich, zwierzęcych njam-njamów. Ale i tutaj w atmosferze nienasiąkłej obcymi czynnikami dzikiej kultury dojrzewają kwiaty. Jeden z nich świeżo uszczknięty stoi obecnie przed nami. Minął niedawno termin kilkudziesięcioletni prawa autorskiego i bajki Grimmów przeszły na własność ogółu. Wydano je też świeżo w kilku różnych tanich i ozdobnych książeczkach u różnych nakładców niemieckich. Między innymi i „Towarzystwo kultury etycznej“ w osobie prof. Giżyckiego sporządziło tanie (markowe) wydanie zawsze przez dzieci kochanych bajek, przyczem uczony profesor kierował się względami etyki i wykluczył te mianowicie, które treścią swą przypominają czasy odległe i na wyobraźnię i duszę młodocianą wpływu dodatniego wywierać nie mogą. Z tego powodu napadł na niego w otwartym i grubiańskim artykule stary Geheimrat Grimm, wykładający dzieje sztuki i *kultury* niemieckiej w uniwersytecie berlińskim i powołał przed sąd reporterów za świętokradztwo, uczynione na pamięci wielkich braci. Wnet rzuciła się cała sfora wyżełków dziennikarskich na uczonego moralistę. Czytaliśmy kilka z owych fabrykatów i rzeczywiście trudno wyobrazić sobie coś bardziej nizkiego i wstrętnego. Nie brzydzą się i nie wstydzą czynić alluzyi do beznadziejnego stanu niezdrowia, w jakim znajduje się Giżycki (który jest od wielu lat sparaliżowany i przywożony na wykłady w wózku), wydrwiwają jego niedawne małżeństwo (współautorką wydania bajek jest żona, Lily — również znana na polu piśmienniczem), dodają luźne, przejrzyste uwagi o przyszłych dzieciach itp. Gdy natomiast Giżycki żądał od redakcyi *National Zeitung* umieszczenia sprostowania na paszkwil Grimma, otrzymał odpowiedź odmowną. Jest więc i tutaj, nietylko za oceanem, kultura niemiecka i jej panowanie.

Zanim skończę, zerwę i drugi już pierwiosnek „etyczny“ na niwie tutejszej. W dziele dwutomowem Nippolda „Die theologische Einzelschule im Verhältniss zur evangelischen Kirche“ znajdujemy między innymi dzieje katedry teologii w Jena, osieroconej po śmierci Lipsiusa. Na katedrę tę, dość poważną, dostać się było trudno. Między innymi znajdował się śród kandydatów na jednem z główniejszych stanowisk profesor nadzwyczajny na wydziale teologicznym w Berlinie, dr. Runze, który atoli z listy wykreślonym został dlatego, że należał do założycieli „Towarzystwa kultury etycznej,“ o którego celach dziewiczej działalności pisaliśmy już dawniej. Wprawdzie brak czasu — Runze jest także nauczycielem gimnazyalnym — nie pozwolił mu przyjmować udziału w żadnem z posiedzeń Towarzystwa, a zasługi literackie wysuwały go wyraźnie na pierwszy plan w grupie współzawodników — nic nie pomogło: wykreślono go „dla niewłaściwości teologicznego postępowania.“

Zen. Por.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak należało się spodziewać, wniosek hr. Kanitza o monopolu zbożowym został odrzucony. Byłoby rzeczywiście dziwnem, ażeby parlament, który zaledwie przed trzema tygodniami przyjął traktat handlowy z Rosyą, oświadczył się teraz za pomysłem, przeciwnym tej umowie. To też hr. Caprivi słusznie zauważył, że po zadośćuczynieniu wymaganiom Kanitza nie mógłby ani chwili pozostać na swem stanowisku, gdyż straciłby wszelkie zaufanie za granicą.

Odsunięci od stołu rządowego konserwatyści zamierzają wykonać demonstracyę bardzo znaczącą, mianowicie po zamknięciu sesyi sejmowej mają się udać całą gromadą na pocieszenie do swego bożyszcza we Friedrichsruhe, ażeby tam wylać łzy żalu z serca i napełnić je gniewem.

Sejm niemiecki, pokonawszy długoletnie i, przyznajmy, uzasadnione wstręty, zgodził się na wniosek centrum, żądający odwołania prawa wygnańczego przeciw jezuitom. Jakkolwiek partya, która go postawiła, jest katolicką, wątpimy, czy w całym swoim składzie czuła tęsknotę do znienawidzonego powszechnie zakonu. Chce ona mu otworzyć granice państwa raczej dla wykazania swej siły, burzącej gmach ustaw majowych aż do ostatniej cegiełki, a przytem zapewnić swemu wyznaniu bezwzględną swobodę. Poniekąd więc jest to doktryneryzm. Doktryneryzmem również kierowały się stronnictwa, które ultramontanom dopomogły do tego zwycięztwa. Ani grupa ludowa, ani społeczno-demokraci, ani postępowcy nie kochają jezuitów, znieśli jednak zakaz osiedlania się ich w imię swobody. Co z tym fantem zrobi Rada związkowa? Podobno Caprivi będzie jej doradzał ustępstwo, gdyż głosy centrum są mu potrzebne do przeprowadzenia reformy podatkowej.

Mimo sarkań Bismarka, który twierdzi, że rząd obecny usuwa ze wszystkich posterunków dyplomatów zdolnych i doświadczonych, zastępując ich miernotami, ambasador niemiecki w Wiedniu, hr. Reuss, został oddalony jakoby z powodu starości. Ponieważ zaś b. kanclerz w starość i jej skutki nie wierzy, więc tłomaczy ten fakt po swojemu.

I znowu wypłynął na wierzch zapomniany od pewnego czasu wynalazca pancerza, opierającego się kulom, krawiec Dove. Jeżeli prawdą jest, że sam on ubrany w ten pancerz staje jako tarcza dla znakomitych strzelców i wychodzi z próby nawet niedraśnięty, jego wynalazek jest rzeczywiście nietylko zadziwiającym, ale mającym wielką przyszłość.

Może czytelnicy przypominają sobie, że pozbawiony mandatu Clemenceau rozpoczął gwałtowne ataki na rząd w swej gazecie i że między innemi podniósł ciężkie oskarżenie przeciw zarządowi marynarki. Wyznaczona do rozpoznania tej sprawy komisya wyjechała do Tulonu, a wynik jej badań dep. Lockroy przedstawił w obszernem sprawozdaniu, którego sens moralny brzmi: wszystko, co opowiedziano złego o gospodarce floty, jest bladem wobec okropnej rzeczywistości. Zerwała się burza, która tymczasowo przyniosła ten skutek, że zabrano się do ukarania nadużyć i usunięcia niedbalstwa.

Zatarg między Crispim, żądającym pełnomocnictwa dla rządu w naprawie popsutej maszyny państwowej i przyjęcia reformy finansowej Sonnina z Izbą, zaostrza się coraz bardziej i prawdopodobnie doprowadzi do rozwiązania parlamentu. Nie wchodząc w słuszność tego żądania, zaznaczymy tylko, że ani z tą Izbą, ani z tym systemem Włochy nie wyjdą na równą drogę.

Sejm węgierski przyjął ustawę o ślubach cywilnych, dla której rząd spodziewa się uzyskać większość w Izbie magnatów. Tym sposobem Węgry dokonałyby jednej z największych reform społecznych.

Co znaczy telegram z Londynu, donoszący, że Izba niższa uchwaliła odjęcie pra-

---

mi się tak młodą, później dopiero dowiedziałem się, że była o parę lat starszą — i siedzieć na miejscu, jak przykuta po dniach całych, odbywając lekcye ze starą babą, która musiała być nudną jak nieszczęście, albo też dłubać nieskończoną ilość gwiazd! Myślałem, że już całe niebo i ziemię niemi obsiać mogła.

Co prawda, to nie zdawało się jej bawić wcale, często opierała czoło o szybę i siedziała długo, patrząc przed siebie, choć przysiągłbym, że nic nie widziała. Czasem znów w lecie, kiedy moje siostry biegały po ogrodzie lub wyśpiewywały na całe gardło, pochylone nad grzędą, opuszczała ręce, oczy jej zachodziły mgłą.

Może miała ochotę biegać i śpiewać z niemi? Może im zazdrościła? Chociaż gdzieby tam taka panienka zazdrościć mogła biednym dziewczętom.

Panienka pochodziła ze wsi, rodzice jej byli kiedyś bardzo bogaci. Potem ojciec umarł, matka majątek sprzedała — podobno tam były straszne długi—i z córką przyjechała do Warszawy. Miała na wsi konie, powozy, pałac, służbę, a teraz mieściła się w trzech pokoikach na drugiem piętrze. Z początku trzymała kucharkę i młodszą, potem ograniczyła się dziewczyną do wszystkiego.

To wszystko opowiadała służąca, która co rano przychodziła po mleko. Brała go tylko na dzień pół kwarty. Ja sam trzy razy tyle wypijałem.

Służące u pani Narczyńskiej zmieniały się często, prawie co miesiąc była inna. Skarżyły się, że pani była strasznie skąpa, że wszyscy w domu przymierali głodem, że pani tak oszczędza na stroje, a przy największej robocie sama do niczego się nie ruszyła. Wstawała zwykle bardzo późno, potem siadała na fotelu z założonemi rękami i wzdychała, myśląc o dawnych czasach, albo też rozkładała suknie, zastanawiając się, jak je przerobić. Niekiedy w piękny czas wychodziła na spacer zawsze ładnie ubrana, sama albo z córką, która jednak wlokła się z nią jakby z musu.

Nikt prawie u niej nie bywał.

Służące mówiły jeszcze, że pani Narczyńska była kiedyś sławną pięknością. Co prawda i dziś na ulicy, zwłaszcza za woalką, wydawała mi się prześliczną, mówiły, że była z niej dawniej wielka zbytnica, że nie może się uspokoić po stracie majątku i młodości, a wreszcie dodawały, że córkę nie bardzo lubi, bo nieładna.

Co temu, to już wierzyć nie mogłem. Matka przecież nie kawaler, żeby dla urody miała córkę pogardzać.

Nigdy mi też na myśl nie przyszło, czy panienka w oknie była ładną, czy brzydką, lubiłem na nią patrzeć, a w oczach jej czytałem niby w otwartej książce. Com ja rzeczy widział w tych szarych źrenicach mglistych, smutnych, beznadziejnych!

Czasem aż ojciec na mnie wołał:

— Antek, czego się gawronisz!

A mnie, jakby kto nagle ze snu przebudził.

Raz spojrzałem w okno drugiego piętra, niema nikogo. Było to właśnie na wiosnę, czasem przypiekło jak w lipcu, czasem znów wicher pędził po niebie czarne chmury a z nich sypał deszcz ze śniegiem. Przed wieczorem patrzę znów — w oknie nikogo. Czyby gdzie wyjechała? Coś mnie zakorciło. Wieczorem już wybiegłem z domu — świeciło się za firanką. Jest, pomyślałem. Jednakże był we mnie niepokój. I znów na drugi dzień okno było puste.

Tak trwało tydzień, czy dziesięć dni. O małom się nie skręcił. A jak na złość, służąca nie przychodziła po mleko.

(D. c. n.)

wa *veta* wyższej względem zatwierdzonych przez nią ustaw — nie rozumiemy, gdyż niedawno taką samą swoją uchwałą (na wniosek Labouchera) unieważniła.

Nowy gabinet egipski pod przewodnictwem Nubara rozradował serca angielskie.

Więc podobno ostatecznie powstanie brazylijskie zostało stłumione. Czy ono jutro nie odżyje — naturalnie nie ręczymy.

BADANIA NAUKOWE.

ROZUM, A UCZUCIE.

(Dokończenie).

Uczucia instynktowe, jak wszystkie wogóle objawy tego rodzaju w człowieku, występują zrazu w postaci nieokreślonych stanów przyjemnych i przykrych. Niezróżnicowane w sobie, nie wyróżniają się od innych stanów tej samej natury; nieświadome swej przyczyny i celu, nie mają ściśle oznaczonego stosunku do zewnętrznego świata. Dopiero gdy drogą doświadczania skojarzą się z odpowiedniemi sobie wyobrażeniami, stają się uczuciami w pełni świadomemi siebie, stają się wzruszeniami i namiętnościami, mającemi wyraźny stosunek do rzeczy, które z owemi wyobrażeniami zostają w jakimś związku. Dziecko np., które pod wpływem instynktowego strachu obawia się każdej nieznanej osoby, w miarę jak nabywa doświadczenia, doznaje uczucia strachu wyłącznie wobec ludzi, których zachowanie się nastręcza mu wyobrażenie o grożącem niebezpieczeństwie. Z tem bowiem wyobrażeniem skojarzyło się jego uczucie strachu i tylko za jego pośrednictwem może ono w niem powstać. Ten sam przedmiot w różnych warunkach może różne wywołać uczucia. Widok lwa w klatce jest dla nas przyjemny, ale spotkanie się z nim w polu przejęłoby nas trwogą, gdyż to spotkanie nasunęłoby nam na myśl wyobrażenia o niebezpieczeństwie, jakiem ono nam zagraża.

Mając na uwadze odmienne pochodzenie wewnętrznych uczuć i wzruszeń oraz względną ich niezależność, łatwo zrozumieć, dlaczego między niemi a uczuciami zmysłowemi nie ma zupełnej zgodności, dlaczego w wielu wypadkach są one nawet wręcz sobie przeciwne.

Uczucia zmysłowe zależą od przystosowania się zmysłów do warunków świata zewnętrznego. Ponieważ narządy zmysłowe podlegają bezpośrednio wpływowi owych warunków, łatwiej przeto do nich przystosowują się, aniżeli narządy wewnętrzne wraz z układem nerwowym, które do świata zewnętrznego w pośrednim zostają stosunku. Jakoż, co się tyczy naturalnego rozwoju, polegającego na przystosowaniu się organizmów do warunków zewnętrznych, to pod tym względem zmysły nasze znacznie wyprzedziły narządy wewnętrzne i dlatego uczucia zmysłowe w większej zostają zgodności z warunkami zewnętrznymi, aniżeli wewnętrzne nasze potrzeby, skłonności i popędy. Układ nerwowy do dziś dnia jeszcze nosi na sobie ślady wpływów, pod którymi urabiał się w ciągu wieków i między naszemi wzruszeniami i namiętnościami nie trudno wykryć pierwiastki, sięgające w bardzo odległe czasy, zawdzięczające swe pochodzenie warunkom życia nietylko barbarzyńskiego, ale nawet dzikiego. To też można powiedzieć, że kiedy umysł, opierający się w swych czynnościach na postrzeżeniach zmysłowych, stanowi pierwiastek postępowy naszej natury, te wzruszenia i namiętności stanowią jej pierwiastek zachowawczy.

Uczucia organiczne oraz wzruszenia i namiętności, mając swe ugruntowanie w ustroju układu nerwowego, wiążąc się bezpośrednio z koniecznymi warunkami życia fizycznego i duchowego, stanowią niewzruszoną podstawę naszej osobowości, naszego charakteru. One rządzą naszymi czynami, dostarczając woli pobudek, one również nadają siłę i trwałość naszym wierzeniom i zapatrywaniom. Skojarzone z niemi wyobrażenia i sądy odznaczają się nierzadko odpornością, której żadne rozumowania, samo nawet doświadczenie, przeciwko nim mówiące, niezdolne są pokonać. W takich to właśnie skojarzeniach leży główna przyczyna niezgodności między rozumem a uczuciem.

Uczucia nasze, dzięki przeważającemu nastrojowi, jaki im nadają wrodzone skłonności i usposobienia, kojarzą się same przez się z wyobrażeniami, temu nastrojowi najbardziej odpowiadającemi. W ten sposób rozum, zajmujący się poznaniem prawdy przedwiekowej i dążący do uregulowania podług niej stosunków życiowych, napotyka odrazu na zacięty opór ze strony wyobrażeń, z któremi nasze uczucia zespoliły się i które stanowią nasze przekonania. Im uczucia nasze są głębsze, im dłużej wyznajemy jakieś zasady, tem trudniej nam od nich odstąpić, chociażbyśmy na razie zmuszeni byli przyznać, że zdanie im przeciwne jest słuszne. Codziennie doświadczenie nas uczy, że ludzie silnych przekonań po długiej tylko i ciężkiej walce odstępują od swych poglądów i wierzeń, uznawszy ostatecznie, że są błędne. Jakoż ci, co lada argumentem dają się przekonać, dowodzą wyraźnie, że żadnych nie mają przekonań. Zresztą nie sam tylko nałóg, nawyknienie do pewnego rodzaju poglądów, rozstrzyga o sprawie, ale i interes. Prawdy rozumowe przedstawiają rzeczywistość i jej stosunki bez względu na nasze upodobania i wstręty, wierzenia i dążności—i dlatego stają nierzadko w rażącej sprzeczności z naszemi pragnieniami i nadziejami, któremi się w życiu kierujemy, a które nie zawsze zgadzają się z właściwymi celami życia.

Taki jest stosunek rozumu do uczucia. Człowiek przedewszystkiem grzeszy uczuciem, nie rozum. Chcąc pogodzić uczucie z rozumem, potrzeba uszlachetnić uczucie, podnieść je do wysokości ideałów, które przewodniczą ludzkości w jej dziejowym rozwoju i o których sam tylko rozum nas poucza drogą ścisłych badań przeszłości i obecnych warunków społecznych i politycznych.

Władysław Kozłowski (Lwów).

LEWIS H. MORGAN.

Przed kilku laty wydany w Warszawie kalendarz biograficzno-literacki „Ruch" przedstawiał dziwny zaprawdę obraz. Miał niby sporządzić inwentarz naszych „literatów" żyjących, opowiedzieć nam, co rzeczywiście posiadamy dobrego, trwałego i zasłużonego w piśmiennictwie współczesnem. Powstał on, jak zwykle wydawnictwa tego rodzaju, z autobiografij, kreślonych na życzenie nakładcy i dlatego właśnie był może tak chciwym. Rzecz charakterystyczna: przejrzawszy pierwsze kilkanaście kartek można było twierdzić z pewnością, że im pisarz marniejszy, tem więcej zajął miejsca i stosunek ten dałby się zilustrować przykładami, branymi ze wszelkich dziedzin literatury. Jeżeli przyjrzeć się wydawnictwom podobnym w innych językach (np. słownikowi Gubernatisa), dostrzeżemy ten objaw jeszcze wyraźniej i wszędzie napotkać można „autorów 23 artykułów" albo komedyopisarzów, o których Żółkowski powiedział, że „gdyby..." Zdawaćby się właśnie powinno, że w stuleciu naszem, w czasie, kiedy uwagi ludzkiej nie uchodzi żaden nawet najdrobniejszy wypadek, zarówno drobne, jak doniosłe w swych skutkach, właśnie te ostatnie winny cieszyć się szczególnym przywilejem w oczach naszej reporteryi i w jadłospisie smakującej ciekawości. Gubernatis słusznie może — chociaż nie przypuszczał zapewne ukrytej ironii — nazwał swój zbiór biografij „Dictionnaire des écrivains *du jowi*„: ileż setek z uwiecznionych tutaj nazwisk i ludzi jest w istocie jednodniowymi motylami, umiejętnie barwiącymi swe skrzydła kolorem nęcącym wszechpotężną publiczność, które powołał do życia fałszywy promień wschodzącego uznania i wykreśliło z listy żyjących przewrotne pióro opinii — już pod brzask dziennego zachodu! Są owe zbiorniki imion i zasług niby te sieci, które zatrzymując i łowiąc drobiny organicznego życia, nie przepuszczają poprzez misterne swe oka skończonych i potężnych organizmów myśli i uczuć.

Nie wiem, czy trzeba było pisać tyle, ażeby stwierdzić, że zasłużony Morgan nie miał dotychczas biografii. Na pierwszy rzut oka trudno nawet zrozumieć, dlaczego tak się stało. Wszak żył za naszych czasów; pracował i cierpiał w ojczyźnie Barnuma. Dopiero dziś kalendarz newyorski „Pionier" zebrał szczupłe dane, ażeby ukazać światu rysy Morgana - człowieka, Morgana bowiem uczonego znamy i my, a dodać możemy na chwałę piśmiennictwa naszego, że byliśmy pierwszym w Europie narodem, który go u siebie przyswoił. Tłomaczenie nasze wyszło o całe cztery lata przed przekładem niemieckim. Czytelników ten badacz miał i ma pono wielu; racya więc podwójna, ażebyśmy przesunęli przed oczyma znajomych i przyjaciół Morgana mozajkę jego życia.

Urodził się 21 listopada 1818 r. w miejscowości Aurora w stanie New-York. Pochodził po mieczu i kądzieli od kolonistów angielskich, którzy w połowie XVII-go wieku osiedlili się w Nowym świecie. Późno ukończył nauki gimnazyalne w t. z. Union College (miał 21 lat), poczem przez cztery lata studyował prawo i przez ten czas pisywał do wielu wydawnictw. Gdy wrócił do domu, przyłączył się do stowarzyszenia młodzieży, które zastał już w miejscowości rodzinnej, które jednak nie miało wybitnego charakteru, a dopiero dzięki Morganowi otrzymało cele i zadania swoje. Nadano mu nazwę „Wielkiego związku irokezów," było ono wzorowane na ustroju ostatnich, pierwotnych mieszkańców tych właśnie okolic, a podzielone na plemiona, które znowu rozpadały się na genty czyli rody. Ażeby odtworzyć rzeczywistość historyczną ustroju irokezów, udał się Morgan do indyan, koczujących po stanie New-Yorku, chcąc zapoznać się z ich społeczną organizacyą: wnet on sam i wielu z jego towarzyszów oddało się z zapałem studyom nad nieznanemi dotychczas w nauce zagadnieniami. Niektórzy z nich zajęli w późniejszych latach wysokie stanowiska w narodzie. Sam Morgan, przeszedłszy szereg stopni w administracyi swego stanu, został w r. 1867-ym senatorem.

Wspomniany związek istniał podobno przez czas dość długi na zachodniem wybrzeżu Hudsonu i cieszył się znaczną popularnością. Obrzędy, związane z zebraniami członków, były bardzo obrazowe, malownicze i pociągające. Zebrania nosiły nazwę „Councils" i odbywały się w lesie — Wielkie zebranie (Grand Council) — w nocy w wielkim lesie niedaleko Aurory. Towarzysze zgromadzali się wokoło wielkich gorejących stosów, a sachemowie i naczelnicy nosili stroje indyan i ozdoby z piór

orlich. Był to wszakże tylko sport, który pociągał wprawdzie dzikością swego charakteru, ale głębszej wartości nie posiadał. Przyjaciele, starsi już o kilka lat doświadczenia, rozwiązali swój „Zakon,“ kilkoletnie atoli uczestnictwo w nim miało dla Morgana pierwszorzędne znaczenie Zapoznawszy się z organizacyą indyan, zrozumiał prędko wartość podobnych badań i nie zarzucił ich, aż wykończył gmach swej pracy istotnie niezwykły. Już w r. 1847 zaczął ogłaszać owoce swych studyów w „North American Review,“ gdzie pod nazwiskiem Skenandoah drukował szereg „listów o irokezach.“ Praca ta atoli w tak silnym stopniu pochłaniała mu czas, że zaniedbał wskutek niej zajęcia zawodowe, jako adwokata; postanowił przeto poświęcić lat parę na ostateczne jej wykończenie, a później oddać się zarobkowi sądowemu. Już w 1851 roku ogłasza „The Ligue of the Iroquois“, która obejmuje szczegółowy i staranny opis organizacyi społecznej i rządu tej rzeszy. Książka zawiera pierwszy naukowy opis plemienia indyjskiego, a także sprawozdania o codziennem życiu, o zwyczajach i przesądach. Tutaj jeszcze Morgan nazywa związek plemion „ligą,“ plemię — nacyą, a gens — plemieniem. Ale już tu wskazał pierwiastki, z których składała się organizacya irokezów. W roku 1856 na posiedzeniu „Amerykańskiego Towarzystwa dla postępu nauki“ odczytał rozprawę o „Prawie pochodzenia u irokezów“, która wzbudziła powszechny zachwyt; zewsząd proszono go, ażeby nie przerywał swych badań, a szczególnie gorąco nalegał na niego Agassiz. Już w następnych latach mógł Morgan uczynić zadosyć życzeniom uczonych. W r. 1858 znajdował się w miejscowości, gdzie napotkał pewną liczbę indyan — z plemienia Oibwa. Udał się do ich obozu i tutaj udało mu się szczupły zasób swych wiadomości uzupełnić szczegółami pierwszorzędnej wagi. Otrzymał listę gentów, szczegółowe dane, co do systemu pokrewieństwa u oibwów. Ku wielkiemu zdumieniu swemu przekonał się, że ich organizacya plemienna, jest zupełnie podobna do ustroju irokezów, gdy tymczasem ostatnich uważał dotychczas za wyjątek. Cała różnica tkwiła tylko w języku: miał przed sobą dwa odmienne plemiona, które w różnych miejscowościach, mówiąc różnymi językami, przedstawiały tę samą organizacyę. Postanowił więc rozszerzyć zakres swych badań i na inne jeszcze jednostki etnograficzne. Powróciwszy do Rochester, który obrał sobie za miejsce pobytu, ułożył kwestyonaryusz w celu zbadania systemów pokrewieństwa, który rozesłał do misyonarzy, nauczycieli, myśliwych, kupców itp., wogóle do ludzi, którzy z dzikimi znajdują się w blizkich stosunkach. Dzięki pomocy, jaką okazała mu „Smithonian Institution,“ zapytania te rozbiegły się po całym świecie. Wyniki jednak były mimo to bardzo nieznaczne; rzecz była nową, a pytani nie zdawali sobie zupełnie sprawy ze znaczenia i wartości odpowiedzi. Wtedy postanowił Morgan sam zbadać rzecz na gruncie. Od roku 1859-go i przez kilka lat następnych widzimy go w ciągłych podróżach. Zwiedził Kanzas i Nebraskę, dotarł aż do zatoki Hudsona i jeziora Winnipeg, zwiedził góry Skaliste. Wszędzie liczne zawierane znajomości z plemionami indyjskiemi pozwoliły mu zebrać bogaty materyał antropologiczny. Tymczasem wracać zaczęły formularze, rozesłane uczonym całego świata i to w takiej obfitości, że lata całe strawił Morgan na uporządkowaniu ich i usystematyzowaniu. Dzieło to, obejmujące 600 stronic druku, wydane zostało w r. 1871 przez „Smithonian Institution“ p. t. „Systemy pokrewieństwa i powinowactwa w rodzinie ludzkiej.“

Przez całe dziesięciolecie przygotowań do wydania tego dzieła zajmował się praktyką adwokacką i przedsiębiorstwami przemysłowemi, które, jak na amerykanina przystało, nie przeszkadzały mu w badaniach naukowych. Płynęła w jego żyłach najczystsza krew kolonizatorów; umiał ze wszystkich stanów, jakie w życiu przechodził i we wszystkich okolicznościach, śród jakich się znajdował, wyciągać nietylko materyalne korzyści, ale dostrzegać wszędzie interes naukowy. Najlepiej uwidocznia ten rys przedmowa, którą poprzedził swą rozprawę o bobrach amerykańskich. Opowiada tutaj o przedsiębiorstwie kolejowem w stanie Michigan, którego był jednym z głównych założycieli. „Jako dyrektor i akcyonaryusz drogi, po raz pierwszy zwiedziłem Marguette w r. 1855 i odtąd co roku latem aż do chwili obecnej (1865). Nie mogłem przezwyciężyć w sobie chęci przyjęcia udziału w połowie pstrągów. Dzięki pomocy przyjaciela mego, Johnsona, który zawiadywał stacyami połowu, nietylko udało mi się doświadczyć tych rozkoszy, ale zapoznałem się z bobrami i ich działalnością. W dzikiej puszczy leśnej istniały one zapewne od całych stuleci i nadały krajobrazowi całemu dziwny charakter i zarazem urok. Po krótkim czasie nie interesowały mnie już pstrągi, cały oddany byłem sprawie poznania bobrów. W kilka lat później zwiedziłem zatokę Hudson, a później jeszcze góry Skaliste, gdzie napotkałem podobnie liczne kolonie. Materyał urósł wskutek spostrzeżeń uczynionych w tych stronach i nabrał wartości podwójnej ze względu na swój charakter porównawczy.“

Po wydaniu tej pracy Morgan żył tylko dla swoich „Indyan.“ Rozpoczął drukować szereg artykułów, stanowiących niby wstęp do wielkiej pracy, która miała unieśmiertelnić go w nauce. Pierwszy z nich nosił tytuł „Siedem miast Ciboli“ (1869), w którym dowodził, że ruiny Chaco w N. Meksyku odpowiadają opisanym przez dawnych podróżników miastom. Tutaj także znajdujemy dokładny obraz architektury pueblów, stosunku ich do budownictwa i życia dzikich itd. Pod koniec tegoż jeszcze roku ogłosił rzecz o „Wędrówkach indyan.“ Wreszcie w r. 1876 zakończył te przygotowawcze studya pracą „Biesiada Montezumy,“ gdzie zebrał dochowane pozostałości kultury meksykańskiej i wydrwił przesadzone opowiadania hiszpańskich podróżników i księży, zaopatrywane jeszcze w barwy estetyczne przez pisarzy nowoczesnych. W następnym zaraz roku ukazała się „Ancient Society,“ główne jego dzieło, zapoznane w ojczyźnie aż do ostatnich nawet czasów. W nauce europejskiej nie zajęło „Społeczeństwo pierwotne“ stanowiska, które mu się sprawiedliwie należało, tak jak i autor jego nie otrzymał tych zaszczytów, których był godzien. Już przed samą śmiercią, w r. 1881, ukazała się praca „Domy mieszkalne i życie domowe tubylców amerykańskich“ (Houses and Houselife of the American Aborigines), pierwotnie przeznaczona przez autora, jako piąta część „Społeczeństwa“ — następnie wydana oddzielnie — i wspaniale. Umarł 17grudnia 1881 r.

Zostało nam już bardzo niewiele miejsca, ale szkic ten nie byłby zupełnym, gdybyśmy nie przytoczyli tutaj słów, w których Morgan oddał całkowity nastrój swego ducha i złożył wyznanie swojej wiary. „Od czasu nastania epoki cywilizacyi zaczęło bogactwo rosnąć w taki sposób, formy jego stawać się tak różnorodne, zastosowania tak różnostronne, że w stosunku do ludu stało się ono potęgą niezwalczoną. Duch ludzki staje bezradnie i bezpomocnie przed dziełem, które sam stworzył. Przyjdzie atoli czas, kiedy rozum ludzki nabierze mocy i opanuje bogactwo, kiedy określi zarówno stosunek państwa do własności, której ono broni, jako też granice praw właścicieli samych. Interesy społeczeństwa mają bezwzględnie pierwszeństwo przed interesami jednostek i jedne i drugie muszą być sprowadzone do stosunku harmonijnego. Pogoń za złotem nie jest ostatecznym celem zabiegów ludzkich, jeżeli postęp pozostać ma nadal prawem, według którego rozwijać się będzie przyszłość, jak był prawem przeszłości minionej. Braterstwo śród grup społecznych, równość praw, wychowanie ogólne ludzkości całej — oto najbliższy etap rozwoju, do którego dążymy, dla którego osiągnięcia pracują na równi z doświadczeniem rozum i wiedza. Będzie ten nowy stopień rozwoju kulturalnego odrodzeniem — w wyższych, doskonalszych tylko rozmiarach — dawnych gentów.“

—*sp.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Prof. Edward Dowden: *Shakespeare, a critical study of his mind and art.* Londyn, 1893.

Oskar Wilde miał niedawno odczyt, w którym wyznał, iż stawia daleko wyżej Marlowe'a, niż Shakespeare'a, francuscy zaś symboliści nazywają ostatniego wprost „wielopisem.“ Moda więc nie jest chwilowo przychylną mistrzowi dramatu nowożytnego, tymczasem krytyka naukowa pocichu zapuszcza coraz głębiej nóż analizy w ducha tego olbrzyma: teraz ona nie zadawala się już anatomią, dysekcyą na główne organy, zajmuje się nawet histologią, bada styl, budowę wiersza, materyał językowy i stąd czerpie dane do historyi rozwoju geniusza. Prof. Dowden daje nam znakomity jego obraz. Dawniej studyowano Shakespeare'a jako księgę objawienia. Uważano go za „duszę, zawierającą w sobie tysiące dusz,“ za głębokiego spostrzegacza i psychologa, który zupełnie przedmiotowo i nie mieszając w to swej osoby, wyprowadzał setki swych postaci. Geniusz ten miał tworzyć obojętnie, na wzór natury; nie zwracano nawet uwagi, w jakim porządku on swe dzieła pisał, gdyż wszystkie wydawały się równie szczytne. Dopiero niedawno zwrócono uwagę na związek, zachodzący między rozwojem, jakiemu podlegał duch poety, a następstwem jego dzieł. Spostrzeżono, iż w ciągu ćwierćwiekowej swej karyery (1588—1612) Shakespeare podlegał licznym zmianom, jako człowiek i jako artysta. Zupełnie inny stopień rozwoju potrzebny był dla napisania *Romea*, *Hamleta* lub *Prospera*.

Szkoła objawienia, uważająca Shakespeare'a za postać nieruchomą, niepodległą ogólnym prawom wzrostu ducha, reprezentowana jest w Anglii przez Coleridge'a, w Niemczech przez Schlegla, we Francyi przez Wiktora Hugo. Wprawdzie Gervinus starał się później odnaleźć epoki rozwoju tego pisarza, ale brakło mu po temu tak potężnego narzędzia analizy, jak rozbiór stylu Shakespearowskiego i dlatego w braku innych danych faktycznych musiał pozostać w sferze domysłów. Guizot także wyprzedził swój czas, objaśniając po raz pierwszy dzieła poety jego otoczeniem, ale on zupełnie spuścił z uwagi wewnętrzny, psychologiczny rozwój mistrza. Późniejsza krytyka francuska była raczej literacką, niż historyczną: to stosuje się do Villemain'a, Mézières'a, a nawet do Taine'a.

Szkoła iście krytyczna i naukowa jest zupełnie współczesna, reprezentowana przez Furnivalla, Dowdena i założone przez nich „New Sh. Society“ (w r. 1974). Pierwsza rzecz, którą badaczom należało ustanowić, to porządek chronologiczny dzieł słynnego dramaturga. Wskazówki

faktyczne, istniejące w tym względzie, są nader ubogie; daleko znaczniejsze daje nam rozwój formy jego utworów. W pierwszych mamy wiersz rymowany, złożony z 15 sylab. Myśl, więziona w tej formie symetrycznej, traciła swą swobodę i rozmaitość. To też poeta przyjmuje wkrótce, wślad za Marlowem, wiersz biały; ale brak rymu nic na początku nie zmienia w rytmie wiersza, który kończy się zwykle pauzą. Są to t. zw. *end-stoped* czyli *end-paused lines*. W następnych dopiero dramatach wspólny sens łączy w jedną całość po kilka wierszy, po których następuje pauza (*run-on* czyli *unstopt lines*). W ten sposób Shakespeare zamienił wiersz czysto muzykalny na dramatyczny. Tegoż samego celu dopiął, przedłużając go jedną sylabą nieakcentowaną. Podwójna ta reforma nadała wierszowi całą rozmaitość słowa żywego. Z symetryi sztucznej pozostało tylko przyzwyczajenie harmonii, która wszakże niczem nie przeszkadza naturalności i prawdzie. Shakespeare wprowadził z czasem wiele innych zmian, dążących w tymże kierunku uwolnienia się od sztuczności i konwencyonalizmu. Wszelkie *concetti*, *euphuismy*, gry słów, aluzye klasyczne i afektacye z biegiem czasu powoli zanikają. Ale zmiany znajdujemy nietylko w formie zewnętrznej, w budowie wiersza, lecz w istocie wewnętrznej stylu, w samym ruchu myśli. „Romeo“ i „Makbet“ niemniej się różnią pomiędzy sobą stylem, niż budową wierszy i charakterów. W pierwszym myśl, pomimo ognia namiętności, rozwija się długo, aż do ostatnich swych rozgałęzień, wyczerpując wszystkie przenośnie i szczegóły. Język pomimo wszystkich śmiałości jest prawidłowy, czysty, klasyczny. W „Makbecie“ natomiast myśl wylewa się ze swych tam, łamie wązkie ramki frazesu, ruch słów jest zbyt powolny, aby podążyć za potokiem myśli i obrazów, które buchają niepowstrzymanie. Wiersz rozpoczyna jednę ideę a kończy drugą. Frazes przeciążony jęczy i trzeszczy pod naciskiem tyranicznym myśli. O klasycznej czystości—nie ma mowy. Wszystkie te dane pozwoliły oznaczyć prawie ściśle daty wszystkich utworów Shakespeare'a, oraz powolny rozwój geniuszu. Wstępny okres jego działalności trwał od 1588 do 1593 r. Poeta probuje swych sił, uczy się, przerabia stare sztuki, pełne krwi i morderstwa (tu należą „T. Andronicus,“ 1588; „Henryk VI,“ 1590), albo też rzuca w komedye i farsy pełne nieprawdopodobieństw potoki werwy, dowcipu i *concetti* (tu należą „Lovés Labour Lost,“ 1590 i „Comedy of Errors,“ 1591). Próbuje swych sił na malowaniu namiętności w „Two gentlemen of Verone,“ 1592 i bawi się w królestwie czarodziejskiem „Midsummer Night's Dream,“ 1593—94.

Pierwsza faza rozwoju oryginalnego trwa od 1593 do 1601 r. i rozpoczyna się pojawieniem „Venus and Adonis,“ pełnego uniesień zmysłowych, które zapowiadają „Romea.“ W obu Shakespeare po raz pierwszy opuszcza uczucia fantastyczne i formy konwencyonalne i rzuca się w prawdziwą namiętność. Jest tu geniusz poetyczny, ale niema charakterów, tej podstawy dramatu. Pojawia się ona dopiero w „Richard III“ (1593). Jest tu jeden tylko charakter, ale on zajmuje całą scenę. Następują po kolei „Richard II“ (1594), „King John“ (1595), „Marchant of Venice“ (1596), „Romeo“ (1597), „Henry IV“ (1597—8), „Henry V“ (1599), „Taming of the Shrew“ (1597), „Mery Wives of Windsor“ (1598), „Much Ado about Nothing“ (1598), „As You Like It“ (1599), „Twelfth Night“ (1600—1601). We wszystkich tych dziełach odnajdujemy dwa uczucia potężne: miłości i patryotyzmu, wyrażone z polotem i śmiałością młodzieńczą, jakich już później nie dostrzegamy. Werwa i wesele wylewają się z brzegów; komedya i tragedya przeplatają się bez ustanku. Shakespeare płynie ogólnym potokiem życia, przyjmuje udział czynny w jego wzruszeniach i namiętnościach; wierzy w nie i uważa za dobre. Jego uwagi są jeszcze często powierzchowne, pochodzące z zastosowania ogólnych formułek moralnych do życia. Niema tu jeszcze refleksyi filozoficznej, która przenika w sam środek życia i losów ludzkich. Autor nie oddziela się od sceny i utożsamia się z bohaterami. Jego optymizm jest prawie niczem niezakłócony tam, gdzie występuje myśl osobista. Zło maluje tylko w jednej formie — zło historyczne, zbrodnia ambicyi. W katastrofie Romea niema nic, coby obwiniało grunt natury ludzkiej. Porównajcie „Much Ado“ i „Otella.“ Treść taż sama: miłość pełna wiary, niewinność, oszczerstwo. Tragedya wybucha, ale kończy się komedyą, katastrofa — ucztą, Jago znika śród śmiechu.

Ale już w drugiej połowie tego okresu znajdujemy myśli głębsze i zupełnie innego charakteru. W „Kupcu weneckim“ tradycya dramatyczna dostarczyła autorowi typ okropny Barabasza (Marlowe). Shakespeare zmienia go tak, iż sympatye czytelnika wahają się pomiędzy Shylockiem i jego ofiarą: zajrzał w głąb tego paryasa, pogardzanego przez wszystkich i tchnącego zemstą, która go usprawiedliwia i odnajdujemy w nim serce ojca i człowieka. Już widnieje myśl, iż jest w świecie coś fałszywego, coś zepsutego. Jest to myśl, która w lekkiej formie przenika tę piękną sielankę „Jak wam się podoba“ (As You Like It); widzimy tu cichy smutek i spokojną gorycz. Ludzie cierpiący zapominają o krzywdach im wyrządzonych przy szmerze strumyka i gałęzi drzew. Melancholia marzy o komedyi świata i jego niewdzięczności. Ta sztuka otwiera z uśmiechem i łzą okres ponury Shakespeare'a), okres serca zranionego i krwawego.

Charakterystycznym dla pierwszej epoki życia Shakespeare'a jest Romeo. Jest to młodszy brat Hamleta, wiąże ich jedność duchowa. „Romeo podobny jest do Hamleta w swej niezdolności utrzymywania woli w związku użytecznym z faktami, ze światem realnym. Żaden z nich nie jest kierownikiem wypadków. Obaj bohaterowie mają to wspólnego, iż wola jest w nich podciętą“ *). Różnią się zaś między sobą tem, iż gdy Hamlet się obraca tylko w świecie myśli, dla Romea świat uczucia jest wszystkiem.

W ten sposób widzimy, iż Dowden zachowuje jedność moralną osoby Shakespeare'a, pokazując zarazem, jak ona stopniowo się rozwija. Romeo, którego uczucie zostało zdradzone, drogą naturalną przeszedł w Hamleta. Faktów, któreby nam pokazywały, w jaki sposób ten przewrót moralny się odbył, niestety, nie posiadamy. Ale jest on niewątpliwy.

Drugi okres trwa od 1601 do 1608 r. Świat nie dotrzymał swych obietnic. Serce poety jest pełne goryczy. Ciemna zasłona przykrywa wszystkie jego twory: „Juliusz Cezar“ (1601), „Hamlet“ (1602), „Mesur for mesur“ (1603), „Troilus“ (1603), „Otello“ (1604), „Lear“ (1605), „Makbet“ (1605), „Antony and Cleopatra“ 1107), „Coriolanus“ (1608), „Timonn.“ Dobro istnieje, lecz tryumf należy do zła. Trzej pijacy są panami świata, a Brutus umiera w rozpaczy, Desdemona i Kordelia giną, a Jago i Gonerila tryumfują; cnoty puste i niepewne, znikające przy pierwszym ryku namiętności, patryotyzm ulatniający się przy ukłuciu pychy i purytańskie zalety, pod któremi śpi piekło („Coriolan,“ „Mesure“); miłość oszukująca, jak i wszystko stało się szkołą wzgardy (Hamlet, Troilus). Shakespeare rzuca na scenę szereg dzikich zwierząt i potworów wspaniałych. Tchnienie szału przebiega po wszystkich tych wizyach; clown sztuk młodzieńczych, błazen śmieszny i zabawny ustępuje miejsca waryatowi pełnemu goryczy i boleści, który zostaje w Learze ostatnim przedstawicielem rozumu, uległego rozbiciu. Czego zbrodnia lub szał nie dotknęły, to pada pod tchnieniem mroźnem ironii. Epopea Iliona wyśmiana o 3 wieki przed Offenbachem z gorzkiem rozczarowaniem! Tu i owdzie figura idealna, Ofelia, Desdemona, Kordelia, które przechodzą i giną. Wszyscy bohaterowie walczą przeciw mocy zbyt potężnej na ich siły, wszędzie osłabnięcie woli, zbyt wątłej wobec świata, wobec nieszczęścia, pokusy i zła. Złamana opuszcza się, wpada w zniechęcenie lub wściekłość.

Dobroduszny, tchnący radością życia Romeo przemienił się na najczarniejszego mizantropa. Jaką drogą odbyła się ta przemiana? Było to prawdopodobnie echo dramatu, który się odegrał w życiu i sercu poety. Niektóre wskazówki faktyczne, posiadane o tych czasach, pokazują nam praktyczną jego oschłość. W r. 1601 pisał monolog Hamleta i kupował jednocześnie za 320 lir. 107 akrów ziemi, w r. 1604 każe Lirowi błądzić w burzy i szaleństwie i wytacza zarazem proces Filipowi Rogers o 1 lir. 11 sh. 10 d. W r. 1605 marzy o demonicznej duszy lady Macbeth i oddaje w dzierżawę kawał ziemi. Jest zgoda wewnętrzna pomiędzy temi cnotami geszefciarza i filozofią rozpaczy, która charakteryzuje ten okres życia Shakespeare'a. Rany przykryły się strupami, a po rozczarowaniu nastąpiła oschłość.

Charakterystycznym dla tego okresu w rozwoju ducha poety jest Hamlet; odnajdujemy go nawet w Makbecie, który jest Hamletem zbrodni: stąd dziwna sympatya autora, towarzysząca mu aż do końca. Nareszcie z biegiem czasu Hamlet musiał się zamienić na Prospera. Następuje ostatni okres rozwoju poety; trwa od 1608 do 1613 r. Rozdarcie wewnętrzne i walki z sobą zakończyły się. Po burzy zachód słońca był pogodny. Już w „Antoniuszu i Kleopatrze“ mamy coś na wzór uspokojenia. Są to potężne namiętności, ale brak nienawiści. Gdy nas życie przewlokło po swych torturach, chętnie zapominamy o naszem „ja“, wyrzekamy się go. W tej epoce życia Goethe stał się panteistą — lubimy wówczas zespolić nasze jestestwo z wszechbytem — albo też zupełnie mu je poddać: stąd pochodzenie Byronowskiego fatalizmu. Ten nastrój duchowy odnaleźć można w trzeciej epoce rozwoju Shakespeare'a. Antoniusz i Kleopatra tak są pogrążeni w nieświadomości instynktu, iż są ofiarami wszelkich przypadków wewnętrznego i zewnętrznego życia. W tym okresie wytwarzają się zarazem w człowieku, znużonym walkami z sobą i światem, uczucia pobłażliwości i litości. One to otaczają swą atmosferą powyższy dramat i nadają mu jego fizyonomię moralną. Poeta nie przyjmuje już tak żywego udziału w losach swych bohaterów, nie jest już tak surowym sędzią uczuć, które niegdyś buchały w jego własnej krwi, przeciwnie, odrywa się od życia, spoziera na nie zdala, filozoficznie, jak na ciekawe widowisko. Następuje cisza i spokój stosunkowy. Wówczas powstały „Cymbelin“ (1609), „Winters Tale“ (1610) i „Tempest“ (1610). W pierwszych dwu dramatach znowu powraca przedmiot Otella, ale jak zmieniony! Tu Desdemona zwycięża. Jest to rozwiązanie z „Much Ado“, ale z wielką różnicą: niema szaleństw młodzieńczych, zabawnych wybryków i powierzchownych namiętności; cała istota ludzka zoraną została i drży boleścią. W „Burzy“ znowu powraca temat „As You Like It“: ale co za odległość pomiędzy dobrym księciem Ardenów, który zapomina krzywdy ludzkie w pieśniach i polowaniu a księciem zaczarowanej wyspy, który znajduje pocieszenie w nauce! Ona mu da państwo świata i ducha. Tu Shakespeare przewidział te zadania, które wiedza współczesna stawia i zrozumiał te

*) Dowden, str. 101.

rozkosze analizy, które taki Renan sprawiał sobie pod koniec XIX wieku. Całe dzieło tchnie cichą melancholią i łagodnym smutkiem, sceptycyzmem zrezygnowanym, a nad wszystkiem górują litość i pobłażanie. Zagadki bytu i losów ludzkich, te źródła niegdyś jęków męczarni (Hamlet) i krzyków rozpaczy (Makbet) dla Shakespeare'a, teraz rozproszyły się w panteistycznej pogodzie.

I to dzieło jest także tworem fantazyi, ale to już nie jest sen nocy letniej, to już nie wyobraźnia młodego człowieka, który się bawi wyrządzaniem figlów Oberona: to imaginacya człowieka, który wlecze za sobą wszystkie znużenia myśli i walk życiowych. Rzecz godna uwagi, przeleciawszy wszystkie przestwory świata i ducha, Shakespeare wolał w końcu się schronić do sfery czysto idealnej i fantastycznej. Ta rzeczywistość nie jest pociągającą. Taką była w głównych rysach historya jego ducha: poloty upojenia życiem, rozpacz i pogoda, a ogólny podkład tej organizacyi, to hamletyzm, słabość woli, wobec nadmiernego rozwoju uczucia i fantazyi.

Dzieło Dowdena jest prawdziwą kopalnią myśli i nalepszą stanowczo rzeczą, jaką dotychczas o Shakespeare'rze napisano.

L. W.

„NAJMŁODSI."

Andere Vögel, andere Lieder! Bo do przybytku ojczystej literatury poczyna pukać nowa generacya i dość energicznie dopominać się o prawo zabrania głosu. Nieliczną jest jeszcze, ale nie można zaprzeczyć, że staje się coraz liczniejszą. Zrozumiałą jest rzeczą, że zaczęliśmy spoglądać z ciekawością na tych „najmłodszych," zwolna nadciągających, jako nowa straż w zastępie pokoleń. Co niosą oni z sobą i jaką dają rękojmię, że do gleby rodzinnej złożą zdrowe ziarno, obiecujące w przyszłości plon obfity? Czy oddychają energią lub może niemoc ducha przedwcześnie ich podcięła?

Z góry musimy powiedzieć, że najmłodsi występują z obliczem nader wyraźnem. Pokolenie z przed lat dwudziestu oddychało umiłowaniem trzeźwego życia, wniosło zapał do ścisłej wiedzy, w praktyce zaś teoryę szarego, nieustającego czynu. Pesymizmów tam nie było, organizmy tryskały zdrowiem. Niepoświęconych raziło nieraz swoją czerstwością i jednostronnością, bo nie umiało gadać o sobie; estetykę i pokrewne sfery traktowało po macoszemu, jako rzecz zbytku. Jeżeli było tam czegoś za wiele, tedy wiary w ludzi i własne siły. I wstępująca obecnie w szranki piśmiennicze generacya bynajmniej nie przedstawia jakichś nieodcyfrowanych znaków zapytania — mówię o tych, którzy nie są spóźnioną falą przeszłych pokoleń. Naukę nie bardzo ona poważa, za mało ma w sobie narkotyku; filozofię uwielbia, tecz taką, która, niby fata-morgana wód i drzew, ściele się nad spieczoną wydmą piasków. I na inne pola życia spogląda z obojętnością, niekiedy zaś ze wstrętem, o ile one nie zaświecą błędnym ognikiem efektownego światła. Ale za to jest przesiąknięta estetyką aż do szpiku kości. A zgodnie ze swoją naturą znalazła najwłaściwszą formę dla swego wypowiedzenia się w powieści — może nie wyrażamy się dość ściśle, ale mniejsza o to. I zewnętrzna jej szata jest nawskroś nie powiem oryginalna, lecz w każdym razie mocno odmienna, i sposób przedstawiania bohaterów, i potrącone zagadnienia, a nawet osobisty stosunek do gwaru życia. Wiele tam roszczeń do tajemniczości, lecz mało czegoś istotnie tajemniczego. Wyprowadzone postacie, lubo temu lub owemu mogą wydać się naturami zagadkowemi, są przejrzyste jak górska krynica. Stoją one niby rzadkie żyto na piasku mazowieckim i każdy z nich jednako pochyla się w pustce pod podmuchem wietrzyka, jakby wyśpiewywał tę samą melodyę:

> „Jak puste kłosy, z podniesioną głową
> Stoim rozkoszy próżni i dosytu..."

Nie! mimo pogoni za efektem niewiele jest tam zagadkowego. Cały zastęp przezroczystych postaci i przezroczystych twórców! W jego szeregach są mistrze i kopciuszki, talenty i talenciki, ale, jak dotychczas, mimo że może żadne pokolenie nie goniło tak masowo za indywidualizmem, bardzo mało jest tam rzeczywistej indywidualności. Pojedyncze utwory są niekiedy tak wzajemnie do siebie podobne, że możnaby podpisać jednego autora pod płodem drugiego, a nie spostrzeglibyśmy tej zamiany. Wszędzie znać ten sam stempel.

Jeszcze jedna uwaga. W naszym szkicu nie będziemy wymieniali nazwisk pisarzy, poddanych przez nas rozbiorowi. Nie idzie nam bowiem ani o palenie kadzideł ku chwale jednych, ani o dokuczenie innym. Zaciekawia nas nowy prąd, nie zaś jakiś X lub Y. w nim uczestniczący, tembardziej iż z bardzo nielicznymi wyjątkami wszyscy nawzajem siebie przypominają.

I.

Jak rzekliśmy, najmłodsi występują z obliczem nader wyraźnem. Jeden rys rzuca się w oczy zaraz na początku, mianowicie nie znam ani jednego pokolenia, któreby posiadało tak nieuwydatnioną fizyognomię klasową. Bohaterzy ich utworów są wzięci ze sfer najrozmaitszych: tu widzimy zmodernizowanego potomka dawnych karmazynów, opływającego w dostatkach; tam majętną panienkę z pośród „inteligencyi," równie zwolnioną od troski o kawałek codziennego chleba, owdzie osoby, ciężko walczące o środki utrzymania. Ale mimo różnicy pochodzenia, wyprowadzane postacie posiadają w wysokim stopniu jednakową duszę, żyją one w różnem otoczeniu społecznem, ale taka odmienna arena nie żłobi na ich jaźni głębokiego śladu. Jest oczywistem, że są jakby odcięte od swojej warstwy, przebywają wśród niej związane splotem warunków, ale obce duchem. Są one jako różne odlewy człowieka „czystego," „oderwanego." A czy weźmiemy rzecz większą lub mniejszą, drobny szkic lub książkowych rozmiarów utwór, wszędzie oko w oko staniemy z tym samym sposobem pisania. Istnieje zawsze jakieś „ja", grzebiące stę w samym sobie lub opowiadające o sobie. Stanowi ono główne ognisko, do którego zbiegają się wszystkie promienie. Zamiast przedmiotowej opowieści o wyprowadzonych typach i ustawienia ich w przedmiotowej perspektywie, autor z pośród najmłodszych chętnie używa innego fortelu: owa „jaźń" pisze pamiętnik, opowiada swoje przejścia przed kimś innym, słowem w ten lub inny sposób posługuje się metodą podmiotową. W swojem mniemaniu wyrasta ona naturalnie na coś olbrzymiego, świat dalszy zostaje przyćmiony, radości i troski innych spadają nizko lub jeśli unoszą się, to niby bezkształtna i niewyraźna mgła. Rozumie się, każdy szczegół i szczególik wewnętrznego życia spotężniał niepomiernie. O! bohaterzy ci umieją być tak subtelni, tak wrażliwi nawet na najdrobniejsze ziarnko piasku, które dokucza ich jaźni, chociaż rzadko na niem odkładają drogocenną substancyę perłową, jak nieznająca analizy muszla. A nie jest to nawet *Seelen-geographie*, jak ktoś dowcipnie ochrzcił powieść psychologiczną, której przedstawiciel niby żeglarz puszcza się na morze wewnętrzne i od jednej wysepki, duszy ludzkiej, płynie do drugiej, kreśli na papierze zarysy każdej i wiąże je we wspólny archipelag. Analiza własna i spowiedź wypełniają całe jądro utworu: bohater żyje odosobniony, a będąc tak bardzo wrażliwy na każde drgnienie własne, jest dziwnie nieczuły względem innych. Obok tego zaś kąpiącego się w rozpamiętywaniach „ja" cóż za jałowa, wprost rozpaczliwie skąpa atmosfera! Niekiedy ów ktoś wprost zna tylko swoje wnętrze i co najwyżej wyprowadza na scenę jeszcze halucynacyę własnego mózgu, przypuśćmy, odbicie swoje w studni. W najlepszym razie zjawia się parę postaci: umierający suchotnik ogląda teraz przyjaciela i siostry, zrozpaczony analityk wskrzesza z lat dawnych obraz kobiety, od której uciekł, lub gdy zaczął podejrzywać swoją narzeczoną, wyzwał jej mniemanego kochanka na pojedynek. Słowem, pusto i głucho dokoła bohatera. A drugorzędne postacie są zwykle manekinami, poruszanymi ręką ukrytego reżysera, bez tętna życia, bez wyrazistej fizyognomii. Jak gdybyśmy byli w teatrze: ktoś wypowiada monolog i w nim wyprowadza drugą i trzecią lecz nigdy dziesiątą osobę, żywemu jego słowu towarzyszą malowane drzewa, za niemi się wznoszą tekturowe domy. Zdarza się, że forma osobistego opowiadania zostaje odrzuconą, ale wśród najmłodszego pokolenia dzieje się to nadzwyczaj rzadko i przedewszystkiem tylko pozornie. Przy bliższem bowiem wejrzeniu okaże się w głębi znowu to samo. Krótki np. wstęp przedmiotowy, później list — taka sama spowiedź indywidualna, w której inne osoby poruszają się jako cienie, zewnętrzne zaś warunki są dekoracyami dla monologu, potem znów kilka przedmiotowych rzutów, stanowiących pomost od jednego monologu do drugiego. Albo inna taktyka. Bohaterka zżyma się na męża i zamiast w czynie ujawnić swoją naturę, w zwierciadle wewnętrznem pokazuje, czem jest sama i czem jest jej towarzysz; później parę słów rozmowy i rozejście się w różne strony, jeszcze później spotkanie się tej samej kobiety z innym mężczyzną i wzajemne spowiedzie. Czytelnik i tutaj nie ogląda rzetelnego życia, ani nie dowiaduje się, jak wyrabiają się te lub inne troski i uciechy, w jaki sposób jedne namiętności ścierają się z innemi. Wszystko winniśmy przyjąć na wiarę: parę monologów, poprzeplatanych co najwyżej nitką przedmiotowości, aby się trzymały jako tako, mają nam oświetlić przeszłość osoby, rodowód czyjejś duszy, jej potyczki.

Subjektywizm formy — oto charakterystyczne znamię młodego pokolenia. Gwar życia zostaje wyklęty. A wraz z tem idą w parze inne następstwa — nadzwyczajna oschłość z jednej, rozwlekłość zaś z drugiej strony, a idą pospołu. Niepodobna bowiem powiedzieć, ażeby młode pokolenie nie umiało wyszukać pociągających wątków. Cóż to za wdzięczny temat w następującym szkicu: dziewczę wychowuje się w zwykłej zgniłej atmosferze drobnomieszczańskiej, pełnej pozowań i czczości, która chociaż jadem przejęła jej istotę, nie przejadła jednak jej ostatecznie. Spotyka mężczyznę, ku któremu serce mocniej uderzyło, ale zdjęte zbyt daleko posuniętą skruchą, boi się przyjąć wyciągniętą dłoń, ów zaś mazgaj nie umie pośpieszyć z pomocą i pozostawia rozbitka własnym losom. Materyału jest tam sporo na utwór z rozwiniętą akcyą, gdyby dekoracye ludzkie i społeczno-rzeczowe zadrgały życiem. Albo inny obrazek. Spracowana nauczycielka, równie młode, rozbite dziewczę, ucieka na wieś, w nocy miewa halucynacyę, w której z potoku pesymizmu wynurza się postać siostry i wlewa otuchę, ukazując młodsze rodzeństwo, potrzebujące czyjejś pomocy. Ale bogaty materyał zostaje przekuty na oschło a krótkie opowiadanie, niby na rodzaj protokułu. Natomiast drobne szczegóły rozwleczono, zamiast każdego wyrazu potrzebnego zjawia się dziesiątek zbytecznych — te osta-

tnie zdania piszę pod wrażeniem czyichś *Szkiców*, wydanych w osobnej odbitce. Brr! ileż tam najniepotrzebniejszej frazeologii. Szkoda, że autor nie miał współpracownika takiego, któryby wziął ołówek do ręki i usunął czczą gadaninę. Wprawdzie nowele byłyby krótsze, ale zyskałyby na takiem skurczeniu. A ta szczodrość słowa pociąga za sobą jeszcze inne skutki. Jeżeli zgadzamy się coś czytać, co możnaby pomieścić w trzech wierszach, co zajęło zaś dziesięć, czynimy to pod warunkiem, iż styl będzie pociągającym. I istotnie, najmłodsza generacya mocno dba o tę stronę utworów, niekiedy może więcej, aniżeli o prawdę psychologiczną. Ale styl tylko wtedy bywa naturalnym, kiedy treść jest jędrną: zachowuje się jak lekka tunika na ciele kobiety, z pierwszego rzutu już zdradzająca, czy pod tą powiewną osłoną ukrywa się bogactwo wdzięków, czy też dekadentyzm fizyczny. Jeżeli brak treści, naówczas autor musi go zapełnić frazeologią, ale dotknięcie przekona, iż pod osłoną ukrywa się wata tandety. Otóż zdarza się ona dość często u młodego pokolenia.

Streśćmy powyższą charakterystykę w paru słowach. Forma subjektywnego monologu lub duetu, niekiedy zamaskowana; zastąpienie gwaru życia przez dekoracye i pokazywanie tylko momentów walki wewnętrznej; nadmiar słów, subtelność osobistych wrażeń i niewrażliwość na dolegliwości innych, a przedewszystkiem nieumiejętność zcharakteryzowania czegoś w sposób przedmiotowy — oto oblicze, z jakiem wstępuje do literatury najmłodsza generacya, a raczej ten jej odłam, który odbiegł od starych bogów i woła, że niesie nowe. Jest to fizyognomia zewnętrzna. Ażeby poznać wewnętrzną, musimy zwrócić się do bohaterów i zajrzeć do ich ducha z zapytaniem, czego oni chcą. W tej mierze uprzedziliśmy już nieco nasz wywód, powiedzieliśmy bowiem, że psychologia ich to ów stan ducha, w którym Słowacki tworzył swoją uroczą dumkę, skarżącą się rzewnie, że jest on jako kłos, próżny rozkoszy i dysytu...

K. R. Żywicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

T. zw. ulgi podatkowe. — Zakład Helclów. — Komisya antropologiczna. — Kurtyna. — Szkoły.

Klęski żywiołowe, które w roku ubiegłym srodze dotknęły Galicyę, skłoniły rolników tutejszych do wniesienia prośby o przyznanie im ulg podatkowych. Zapewnienia p. Badeniego podczas sesyi sejmowej pozwalały przypuszczać, że słuszne to żądanie przez władze skarbowe zostanie uwzględnione. Tymczasem ogłoszony reskrypt ministeryalny, sprawia wszystkim, którzy z ufnością nań czekali, ciężki, dotkliwy zawód. Ministeryum finansów przyznaje wrzekome ulgi tylko 22 powiatom, w których klęski spowodowane zostały wylewami i większych rzek; pozostałe zaś 22 powiaty, usprawiedliwiające nieurodzaj wylewami wód mniejszych, gradobiciem, słotą podczas zbiorów, z ulg tych stanowczo są wyłączone. Dalej termin opłaty podatków zaległych, oraz tych, które przypadają obecnie, został odłożonym... Nie cieszmy się jednak zawczasu: wspaniałomyślne bowiem odroczenie trwa nie dłużej, jak do końca września 1894 r. Starostwa otrzymują upoważnienie do skontrolowania stanu właścicieli, chwilowo niewypłacalnych i prawo zażądania od nich terminu, do którego potrzebują przyzwolenia na zwłokę w uiszczaniu się z podatków. Jednocześnie termin ten, bez względu na wynik badań, reskrypt oznaczył wyraźnie i bez wszelkich zastrzeżeń. W wypadkach, gdzie skarb nie będzie narażony na niebezpieczeństwo, wolno powstrzymać intabulacyę zaległości podatkowych większej własności ziemskiej na czas trwania dozwolonej zwłoki. Mniejsza własność przywileju tego naturalnie nie ma, dzierżawców pominięto najzupełniej, mimo że najbardziej klęski odczuli; jakże więc ministeryum finansów nie wstydzi się nazwać podobnej parodyi: „reskryptem o ulgach podatkowych dla Galicyi.“ Komu właściwie chce zamydlić oczy, udając pozorną sprawiedliwość (rozporządzenia dotyczące starostw), skoro jednocześnie oznacza termin płatności podatków, a więc uniemożliwia wszelkie istotnie korzystne wyniki tej akcyi? Lep taki zasmakować może jedynie p. Badeniemu, pomagając mu do przeżuwania własnej jego, przez ogół odczuwanej, obłudnej frazeologii. Ale namiestnik prawdopodobnie sądzi, że głodni nie gardziliby podawaną przez niego strawą. skoro zaś jej nie chcą, każdy okruch jest dostatecznym, ba, wspaniałomyślnym darem. To jedynie przekonanie mogło być dokładnem przemowy „Ekscelencyi“ w sejmie.

Ile to było radości, podziwu, nadziei, gdy w r. 1890, dzięki znacznemu zapisowi Helclów stanął w mieście naszem zakład dobroczynny ich imienia! Wola fundatorów powierzyła pieczę nad instytucyą Wydziałowi krajowemu, który oddał przytułek pod bezpośredni zarząd Sióstr miłosierdzia i wypłaca im 65,000 złr. rocznie z odsetek kapitału żelaznego. Suma ta pokrywa utrzymanie czterdziestu kalek nieuleczalnych i piętnastu osób, chwilowo pozostających w zakładzie jako rekonwalescenci, reszta bowiem chorych, którzy wrzekomo, według raportów przez Siostry co miesiąc ogłaszanych, korzystają z dobrodziejstw, płaci za utrzymanie po 600 złr. rocznie i niżej. Na koszcie zakładu zatem jest osób 55, zarząd tymczasem obejmuje 59, a mianowicie 20 Sióstr, 35 służących, 1 doktora i kilku ojców Misyonarzy do obsługi kościoła. Wynikałoby stąd, że utrzymanie 114 osób pochłania 65,000 złr. Krakowskie Towarzystwo dobr. sumą 26,000 złr. opędza nietylko koszt utrzymania 150 starców i dzieci, odejmując przeszło 60-ciu dzieciom i chorym całkowicie troskę o byt, ale nadto i wszystkie wydatki administracyjne. W Zakładzie dobr. miejskim Kraków mieści przeszło 80 kalek, wydatkując 12,000 złr. W warunkach fundacyi Helclów utrzymanie jednej osoby nie przenosi 120 złr., jeżeli zatem odejmiemy 6,000 złr. na wydatki dla 55 chorych, to okazałoby się, że pozostałe 58,000 są pokryciem wydatków administracyjnych. Byłoby to karygodną lekkomyślnością, lecz jeszcze nie — oszustwem. Niestety jednak, ściśle widać nieumiejące myśleć Siostry pod „kosztami administracyjnymi“ pojmują stałe odsyłanie dochodów Zakładu do generalnej komendy Towarzystwa Wincentego a Paulo w Paryżu; zamożniejsi pensyonarze zakładu bywają obciążani haraczem, który ogółem rocznie wynosi sumę 10,000 złr., również do Paryża wędrującą. Miłosierdzie Sióstr (z przełożoną, francuzką, na czele) nie jest przeszkodą do bezwzględnego wyrzucenia kalek z przytułku, chociażby osobniki te miały nawet wymagane przez zapisodawców kwalifikacye, tj. mogły wykazać biedę, nieuleczalne kalectwo i przynależność do gminy krakowskiej. Kurator instytucyi, p. Tomkowicz, odmawia wyrzuconym wszelkiej pomocy, twierdząc, że w wewnętrzną administracyę Zakładu się nie wdaje. Czemże więc właściwie p. Tomkowicz się zajmuje, za co, za jaki trud, za jaką czynność z funduszów instytucyi pobiera 1,000 złr. rocznie? Co na to bezprawie powie Wydział krajowy, i co gmina krakowska?

Na ostatniem posiedzeniu komisyi antropologicznej, profesor Zawiliński zdawał sprawę z podróży etnologicznej, którą odbył ubiegłego lata na Węgry, do powiatu czadczańskiego. Dla oznaczenia obszaru ludności polskiej w przypływie Kisucy, czynił wycieczki w kierunku zachodnim i południowym i doszedł do rezultatu, że ludność typu polskiego podległa znaczniejszym, aniżeli w okolicach Skalistego, wpływom słowackim. Prof. Zawiliński poznał zwyczaje skaliczan, zebrał trochę pieśni i przyobiecuje złożyć całokształt wierzeń, podań, wyobrażeń wspomnianej ludności. Na temże posiedzeniu, p. Majer zrzekł się przewodnictwa, przedstawiając podeszły wiek, jako wielką dla dalszej działalności przeszkodę. Przewodniczącym obrano prof. Jana N. Baudouin de Courtenay'a, sekretarzem działu archeologiczno-antropologicznego — prof. Kostaneckiego, sekretarzem zaś działu etnologicznego — prof. Zawilińskiego.

Przed kilku dniami przybyła do Krakowa długo oczekiwana — kurtyna Siemiradzkiego. Poprzedziły ją entuzyastyczne pochwały królowej Małgorzaty i spokojniejszy nieco, lecz dość głośny zachwyt znawców włoskich. Istotnie — obejmując pamięcią wszystkie prawie znane nam kurtyny znaczniejszych teatrów europejskich, żal poprostu ochrzcić to dzieło prawdziwego artyzmu nazwą tak zdawkową. Płótno ma $11\frac{1}{2}$ metrów szerokości i $9\frac{1}{2}$ wysokości. Koloryt jasny, czysty, pełny, na pierwszy rzut oka zdradza Siemiradzkiego. W środkowej grupie widzimy związek Piękna i Prawdy, skojarzony przez Miłość, a błogosławiony przez geniusza Sztuki. U stóp tej grupy widnieją postacie komedyi i farsy, po prawej stronie wznoszą się ku błękitom: Poezya, Taniec, Wesołość — po lewej: Bratobójstwo, Walka, Rozpacz, Siły piekielne na tle groźnego nieba; poniżej postać Smutku wsparta na urnie z napisem staro-chrześciańskim: *Cordis cineri pax.* Najpiękniejszem miejscem obrazu jest prawa grupa. Wszystkie postacie malowane są na skalę $1\frac{1}{2}$ razy przewyższającą wielkość naturalną. Skóra lamparcia, rozesłana u stóp Bachusa, jest ostatnim wyrazem plastyki malarskiej, a dobór, zestawienie barw tak przepiękne, że zdaje się, jakgdybyśmy przeniesieni zostali w krainę cudów, uposażoną we wszystkie czary rozbudzonej, sił swoich świadomej, nieśmiertelnej wiosny.

Sprawa budowy gmachów trzeciego gimnazyum i szkoły realnej, sprawa, w której, jak donosiliśmy, Rada miasta naszego tylokrotnie zmieniała zdanie i warunki swoje, znalazła o tyle pomyślne rozwiązanie, że rząd nabywa od gminy zakupione przez nią grunta i z własnych funduszów wzniesie budynki.

Ferropar.

PAMIĘTNIK.

Kongres lekarski w Rzymie.

Gdy włosi z basem, barytonem lub tenorem w gardle wędrują po scenach europejskich i ukazują nam się jako Mefistofelesy, Fausty i Don Juany — można się nimi zachwycać, a nawet wybaczyć histeryczkom teatralnym, które im pod stopy rzucają swe serca. Kiedy wszakże potrzeba z nimi zetknąć się w ich ojczyźnie, cały urok operowy pryska i odsłania najobrzydliwszą prozę. Prózni, chciwi, samolubni, natrętni, w obyczajach dzicy, dziwnie solidarni w wyzyskiwaniu cudzoziemców — stanowią jeden z najwstrętniej-

szych narodów Europy. To też gdy zapowiedziano kongres lekarski w Rzymie, przewidywaliśmy rozczarowanie jego uczestników. Jakoż ściągnięto ich kilka tysięcy i oddano na łup ludności miejscowej. Niedopuszczeni do głosu, odarci z pieniędzy, ogłodzeni, przeciągnięci przez szereg uroczystości z kłamliwymi programami i olbrzymim napływem gapiów, niemających nic wspólnego z kongresem, uraczeni nieskończonym łańcuchem mówek i wybryków żakowsko-łobuzowskich — skarżą się oni dziś w pismach europejskich. I nasi przedstawiciele powrócili ze skwaszonemi minami, opowiadając dziwy o szczególnej gościnności włoskiej. Ażeby dać czytelnikowi o niej słabe wyobrażenie, zaznaczymy jeden tylko fakt. Gdy urządzono ucztę dla kongresowiczów w termach Karakalli, włosi uprzedziwszy swych gości, wpadli pierwsi, zjedli co się dało, a potem puścili wodze swej wesołości: bombardowali zgromadzenie bułkami i butelkami, puszczali się w tany, odstawili drabinę jakiemuś mówcy, który chcąc być słyszanym, wlazł po niej wysoko w niszę muru itp. Że w takich warunkach trudno rozprawiać naukowo — każdy przyzna. Co najwyżej można się w nich źle bawić. To też gdyby wszystkie kongresy lekarskie miały się tak odbywać, jak rzymski, doprawdy przyzwoiciej i pożyteczniej byłoby przeciąć tę farsę, niegodną ludzi poważnych.

Osądzona szajka.

Sąd okręgowy piotrkowski w Łodzi rozdzielił kary między uczestników szajki, która przez półtora roku rabowała i niepokoiła kilka powiatów w trzech przyległych guberniach. Sprawcy tych napadów, dokonywanych przeważnie na dwory wiejskie, przez jakiś czas byli nieznani; pomału wszakże zaczęła się uchylać okrywająca ich zasłona, dzięki bądź objaśnieniom poszkodowanych, bądź poszukiwaniom policyi. Gdy wreszcie kasyer Bełdowa, broniąc się energicznie, postrzelił kilku złoczyńców i gdy kazano zwracać uwagę na osobistości podejrzane a ranne, policya schwyciła nić, po której doszła do kłębka. Wtedy okazało się, że niejaki Bartłomiej Mielczarek, służący poprzednio jako lokaj i leśnik, skazany za zgwałcenie dziewczyny na osiedlenie w Syberyi, skąd uciekł, dobrał sobie orszak ze złodziejów pobytowych i wypuszczonych z więzienia przestępców, którzy pod jego dowództwem przedsiębrali wyprawy. Dopomagali im do tego miejscowi „paserzy,“ nabywający skradzione rzeczy za bezcen (Guterman w Łodzi płacił po 7 rs. za funt srebra). Wprzódy uchwycono podkomendnych, a potem dopiero herszta, który ukrył się w Częstochowie. Po wyłowieniu całej szajki wraz z jej pomocnikami, postawiono 30 kilku oskarżonych przed sądem, który wezwał około 200 świadków. O rozmiarze tej sprawy daje pojęcie ogrom aktów, który obejmuje 21 tomów. Badanie oskarżonych, którzy w znacznej części przyznali się do winy, oraz świadków, którzy swemi zeznaniami oświecili tę ponurą galeryę, ukazało nam otchłań zgniłej nędzy. Działaczami czynnymi byli ludzie młodzi, ale już poprzednio karani, natury zepsute lub chęcią życia popchnięte do rabunku. Nieszczęsne „Bałuty“ (przedmieście Łodzi), jak wielka otchłań zbrodni wyziewami swymi zakażały szeroki krąg ludzki: robotnicy i stróże fabryczni, felczerzy, kucharze, pisarze gminni, najrozmaitsze pierwiastki znalazły się w sieci procesu. Główny jego bohater, liczący zaledwie 27 lat, inteligentny, śmiały, energiczny, panował nad tą spodloną czeredą, która czuła taką świerzbiączkę złodziejską w rękach, że okradała nawet swego przywódcę. Pomimo całej odrazy do jego czynów, trudno było się oprzeć uczuciu żalu, że człowiek ten, bogato uposażony od natury, wszedł na drogę występku. Sam on w kilkakrotnych przemówieniach usiłował dowieść, że ta droga go nie nęciła, że uciekłszy z Syberyi, zamierzał tam powrócić z żoną, że potem chciał uciec za granicę itd. Sąd wszakże nie mógł uwzględnić tej obrony i skazał go na 20 lat ciężkich robót (z tych 8 w oddziałach poprawczych) i 80 rózeg. Wspólnicy jego wypraw otrzymali niższe kary od 6 do 12 lat ciężkich robót, pomocnicy zaś (nabywcy skradzionych rzeczy, ukrywacze itd.) na osiedlenie w Syberyi i dłuższe lub krótsze więzienie.

Testament Kronenberga.

Świeżo otwarty testament Stanisława Kronenberga sprawił o tyle niespodziankę, że — podobnie jak testament A. hr. Potockiej — zawiera ogromną przewagę zapisów prywatnych nad publicznymi. Zmarły głównie obdarował żonę Elżbietę z Połtorackich, *1-o voto* Timajewową, *2-o voto* Ilinową, dla której przeznaczył, oprócz części z prawa przypadającej (przeszło 1 milion rs.), nadto 250,000 rs. i dożywocie na dobrach Wieniec. Dalej po kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy rubli przyjaciołom, współpracownikom, podwładnym i znajomym. Na cele dobra ogólnego wydzielił stosunkowo niewiele: 40,000 Kasie Mianowskiego, 30,000 na wpisy uczniowskie i 5,000 rs. na studenckie — razem rs. 75,000. Zważywszy, że nieboszczyk nie zostawił dzieci, że był to człowiek doskonale rozumiejący potrzeby społeczne i pragnący wyjść po za utarte ścieżki filantropii, można dziwić się, że nie uczuł chęci ufundowania jakiejś trwałej instytucyi, ku czemu nie brakło mu środków. Jest to tem dziwniejsze, że testament pochodzi z epoki, poprzedzającej rozstrój duchowy, w której nie zamroczył się jeszcze jego umysł. Jako były prezes Kasy Mianowskiego, Kronenberg obdarzył ją hojnie, ale ileż on widział innych ołtarzów, które zasługiwały na ofiarę z jego strony! Dość zaznaczyć, że ani jeden szpital nie otrzymał od niego zapomogi, a przecież są to zakłady, które przed innymi powinny się nasuwać myśli filantropa.

Podatek od mieszkan.

Pobór podatku od mieszkań trwa już w Warszawie od kilku tygodni. Czuwająca nad nim komisya odebrała mnóstwo zażaleń i protestów. Większa ich część pochodzi od lokatorów, odnajmujących pokoje i zajmujących faktycznie mniejsze mieszkania, niż wykazują spisy podatkowe. Tych skarg komisya nie uwzględnia i odsyła proszących o zmniejszenie opłaty do ich sublokatorów, którzy powinni w niej również przyjąć udział, a uczynić tego nie chcą, gdyż lokale z komornem niższem, niż 250 rs., od podatku są wolne. Naturalnie wynikiem tej zmiany stosunków będzie powiększenie się mieszkań małych, osobnych, a zmniejszenie odnajmu. Warszawa tedy pójdzie dalej w kierunku dotychczasowym. Obliczano mianowicie, że nowy podatek przyniesie około 450,000 rs., tymczasem skutkiem wielkiej liczby lokalów drobnych da on zaledwie 160,000 rs.

Dlaczego równocześnie z tym przyrostem kosztów ceny mieszkań idą w górę, jest to dla nas zupełnie niezrozumiałem, tem bardziej, iż objawiła się znowu gorączka budowlana i nowe domy zaczynają wyrastać, jak grzyby po deszczu. Czyżby kamienicznicy nasi chcieli naśladować giełdziarzów berlińskich, którzy, gdziekolwiek w świecie wybuchły jakieś zamieszki, zaraz obniżali kurs rubla, chociażby na rachunek Labradoru lub Kamerunu. Opłata za wodę i podatek mieszkaniowy stworzyły już poważną nadwyżkę, jeżeli do tego jeszcze przybędzie podniesione komorne, któż sobie pozwoli na kilka pokojów? Szczęściem i tu także po przypływie następuje odpływ. Może więc znowu za lat parę niebieskie karty na bramach zapraszać będą przechodniów „wszelkiemi wygodami po zniżonych cenach.“ Oby jak najprędzej!

Z. Sarnecki.

Bogaty i wesoły ziemianin, potem komedyopisarz, redaktor, dyrektor teatru, znowu wydawca i redaktor — próbował Sarnecki swoich sił na kilku warsztatach pracy, zawsze jednak najbardziej ciążył ku teatrowi. Z natury jest to wysoki gatunek szlachcica: konserwatysta, pełen niewyczerpanej serdeczności, miły, elegancki, wiecznie uśmiechnięty, kulturą francuską mocno zagalwanizowany, przedewszystkiem zjednywa sobie sympatyę. Te cechy odbijają się również w jego utworach. Już z góry przewidzieć można, że utwory te nie są ponurymi dramatami, lecz komedyami — jeżeli nie najlepszego ze światów, to dobrego. Dramatopisarz musi być filozofem, Sarnecki zaś jest obserwatorem i to spoglądającym na życie przez szkła zaróżowione. Czyżby on zachował swój pogodny humor, gdyby naokoło siebie nie widział więcej świateł, niż cieniów? Człowiek, który na wszystkie strony rozlewa potoki serdeczności, któremu uśmiech przyrósł do warg, który prawie nigdy nie zgrzyta, a często całuje, który przechodzi swoją drogą śród tłumu życzliwych i przyjaciół, jest niewątpliwie przekonanym, że życie ma swoje choroby, ale łatwo uleczalne, że maszyna świata psuje się czasem, ale łatwo ją naprawić, że charaktery ludzkie bywają brudne, ale łatwo je umyć. Człowiek taki sądzi nawet, że dość wyśmiać lub skarcić pewne wady ze sceny, ażeby one zamieniły się na cnoty. W szeregu komedyj Sarneckiego („Zemsta pani hrabiny,“ „Febris aurea,“ „Bezinteresowni,“ „Kalecy,“ „Dworacy niedoli,“ „Nad ranem,“ „Słonecznik,“ „Lekkoduch“), do których on świeżo dołączył „Urocze oczy,“ przebija się ten nastrój autora. Że on jest błędnym albo sztucznym ognikiem swego czasu — nie potrzebujemy dowodzić. Co do strony artystycznej tych utworów, są one pisane zgrabnie, miejscami wytwornie i ze znajomością sceny. Pomimo że krojone według wzorów francuskich, daremnie szukalibyśmy w nich drażliwych zagadnień i śmiałych rozwiązań. Na to znowu Sarnecki zbyt mało jest francuzem, a zbyt wiele polakiem.

Dnia 5 kwietnia upłynęło 25 lat od chwili wystawienia pierwszej jego sztuki w teatrze warszawskim. Z powodu tej pamiątki prasa przypomniała działalność jubilata, a w Galicyi, gdzie Sarnecki obecnie mieszka, uczczono ją koleżeńskim obchodem.

H. Pillati.

W smutnej doli zagasł ostatecznie talent, który przed 30 laty zabłysnął wspaniałym płomieniem. Płomień ten gorzał krótko. Po niewielu pracach, przedstawiających bądź sceny wojenne, bądź życie ludu miejskiego, Pillati zaczął nagle zapadać w otchłań choroby, z której już nigdy nie wynurzył się jego umysł. Była to śmierć talentu, chociaż nie śmierć ciała. Taki widok jest zawsze bolesny, tem bardziej zaś, gdy patrzymy na człowieka, który dał dowody wielkich uzdolnień i zapowiedzie świetnej przyszłości. Jako ilustrator pism warszawskich, trzymał H. Pillati berło; jako kolorysta w utworach malarskich, zaliczał się do najświetniejszych. Jeśli nas pamięć nie myli, przeszło 20 lat przeżył w umysłowem zamroczeniu, jego więc nazwisko zatarło się w kronice czasu bieżącego, zwłaszcza że obraz nie jest rozmnożoną w mnóstwie egzemplarzy książką, którą ogół ciągle czyta, lecz unikatem, kryjącym się w prywatnej galeryi. Kto wszakże widział prace Pillatiego z najlepszej jego epoki, ten je zawsze wspominał z podziwem. Nieszczęśliwy artysta zakończył swoją niedolę w 62 roku życia.

Towarzystwo pszczelnicze.

Do szeregu instytucyi publicznych przybywa nam jeszcze jedna. Nieszczęśliwa spółka udziałowa („Muzeum“), której dzieje pełne są znamiennych faktów, obejmujących wszystkie wybitne cechy naszej przedsiębiorczości i łączności ekonomicznej — zaciera ślad po sobie. Na jej zwaliskach powstaje nowe Towarzystwo pszczelnicze, na szerszych podstawach rozsnute. Przepisy, opracowane przez adwokata Emila Weidla, zostały już przez władzę zatwierdzone. Oto, jak one określają w głównych zarysach zadanie działalności nowej grupy przedsiębiorców: dopomaganie rozwojowi pszczelnictwa i ogrodownictwa, szerzenie pożytecznych wiadomości w tym zakresie, budzenie śród ogółu zamiłowania do tworzenia pasiek. Dla dojścia do powyższych celów służyć będą następujące środki: Zapoznawanie interesowanych z udoskonalonymi systemami rozmnażania pszczół i budowania uli; urządzanie wzorowych pasiek doświadczalnych i takichże ogrodów na własnych lub wynajmowanych gruntach; przysposabianie fachowych pasieczników i ogrodników wyznaczanie nagród za dzieła konkursowe tudzież za wzorowe pasieki i ogrody; odczyty publiczne i narady z dziedziny pszczelnictwa i ogrodnictwa; księgozbiór dla członków; badanie stanu pszczelnictwa i ogrodnictwa w kraju; utrzymywanie stosunków z miłośnikami tych działów gospodarstwa i pokrewnymi; dostarczanie osobom prywatnym pszczół, uli, nasion, miodu, wosku, sadzonek itd.; urządzenie wystaw pszczelarskich i ogrodniczych, ze specyalnem uwzględnieniem roślin miododajnych. Po za tem—ważnym warunkiem stowarzyszenia ma być posiadanie własnego składu i fabryki uli tudzież muzeum. Członkowie Towarzystwa dzielą się na rzeczywistych, honorowych i członków - współpracowników obojej płci. Pierwsi wnoszą jednorazowo 5 rs. wpisowego i 10 rs. rocznie. Członkowie współpracownicy nic nie płacą, lecz nie mają prawa głosu na zebraniach. Zarząd Towarzystwa składać się będzie z pięciu osób, wybieranych corocznie na zgromadzeniu ogólnem. Jako członkowie-założyciele, podpisali ustawę pp.: Kazimierz Chrapowicki, adwokat przys. Emil Weidel i Paulin Dąbrowski.

Pszczelnictwo dotąd traktowane było u nas po amatorsku i z wyjątkiem kilku wytrawnych fachowców przedsiębiorców, nie miało cech racyonalnej i zyskownej gospodarki. To też garść wychowańców i wychowanie byłego Muzeum rozproszyła się gdzieś po kraju bez śladu, nie stworzyła samodzielnych przedsięwzięć, nie pchnęła pszczelnictwa na przód. Część ich na służbie przy lichej płacy zapatyczniała, zamieniła się na zwykłe automaty, część zaś, szczególnie kobiety, trochę ich znaliśmy osobiście, dużo obiecywały w barwach poetyczno-sentymentalnych, ale po zamążpójściu skończyły się piękne sny i zamiary. Pszczelnictwo, jak dawniej, powlokło się ścieżkami rutyny przestarzałej, a ci, którzy je traktują dorywczo, nie cenią jego wcale, jako poważnego źródła dochodu. Oby więc nowe Towarzystwo dało energię, świeżość, rzutkość i wiedzę pracownikom na tem polu; wzbogaciło literaturę niezmiernie ubogą! Wszystko to jest w programie; popierajmy więc instytucyę i czekajmy rezultatów jej działań, które głównie powinny się zaznaczyć w podniesieniu dobrobytu rzeszy, prowadzącej przedsiębiorstwo samodzielnie i — zapewnieniu chleba armii pracowników-fachowców na polu, zbyt zarośniętem dotąd dzikimi chwastami. *mir.*

W DALI.

Sosnowice. Wielce charakterystycznym faktem jest obsadzenie krajowcami wszystkich posad w administracyi, kopalniach i fabrykach Towarzystwa sosnowickiego kopalni i zakładów hutniczych. Za poprzedniej administracyi przeważał tam żywioł niemiecki. Podobno prowadzono gospodarkę niedbale i skutkiem tego trzeba było wyłożyć obecnie znaczne sumy na poprawienie fabryk, budynków i zaprowadzenie nowych szybów w kopalniach. Skutkiem tego dywidenda dla akcyonaryuszów za r. 1893 wynosiła tylko 4%. Niech się jednak pocieszą tem, że wzmocniona gospodarka powiększy ich dochody w przyszłości. — Według doniesienia *Gazety kieleckiej*, w Suchedniowie powstaje szpital dla górników.

Kowno. Przed rokiem w gubernii kowieńskiej utworzył się związek rolników dla organizacyi zbytu produktów i oto w tak krótkim czasie już się ujawniły owoce działalności tego stowarzyszenia. Utworzyło ono skład maszyn i narzędzi rolniczych, do szeregu zaś klientów wciągnęło nietylko większych właścicieli ziemskich, ale i włościan. Gromady tych ostatnich otrzymują na żądanie pewien kredyt, którego spłata odbywa się bardzo pomyślnie. Lud kupuje pługi, a co więcej — na jego żądanie sprowadzono sześć wagonów superfosfatów. O tym związku bardzo sympatycznie napisały niedawno *Birż. Wied.*; mówiąc zaś o pomyślnych skutkach działalności, dodały: „Takie rezultaty, to niewątpliwie duża dywidenda natury moralnej, stwierdzająca, że związek nie zbankrutował ani w oczach własnych, ani rządu, który zachował się względem niego z całą ufnością, pozwolił rolnikom zgrupować się do pracy wspólnej dla dobra ogółu, otworzył im kredyt w Banku państwa.“

Moskwa. Jeden z wielkich przemysłowców miejscowych, p. Prochorow, przed kilku tygodniami w Towarz. przemysłu i handlu zrobił ogólny rachunek doroczny z dziedziny wytwórczości. Między innemi mówca wykazał, że perkaliki moskiewskie na wschodzie mają coraz większe powodzenie, skutkiem czego nawet ceny wzrosły; Persya zaś zalewa producentów zamówieniami na perkale ponsowe. Ważnym rynkiem stała się Azya środkowa. Wojna celna, zdaniem p. Prochorowa, dowiodła, że Rosya może się obejść bez towarów zagranicznych i że fabrykacyi moskiewskiej brak tylko dobrych rysowników, którzy potrafiliby tworzyć prawdziwie gustowne wzory. Gust w rysunkach i barwach wszystkich towarów perkalikowych, szczególnie t. zw. modnych, stanowi podstawę ich powodzenia. Interesowani, zarówno w Moskwie, jak i Łodzi, muszą sprowadzać specyalistów z zagranicy. Ale i to nie może w zupełności zwalczyć współzawodnictwa zagranicznego, gdyż specyalista taki, oderwawszy się od świata kalejdoskopowego w pomysłach, z czasem traci swe zalety i powtarza przestarzałe motywy, nie posiada zaś tyle samodzielności, ażeby sam mógł tworzyć ciągle coś nowego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRAWO PROPINACYI.

II.

Zupełnie inne stosunki panowały w Rosyi. Wyrób i sprzedaż wódki od najdawniejszych czasów były wyłącznem prawem książąt (władców). Za panowania księcia Joana karano za pijaństwo, a Joan Wasilewicz pozwalał tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie spożywać trunki w szynkach. Borys Godunow, pragnąc wykorzenić złe obyczaje, zabronił pijaństwa i utrzymywania szynków z nadmienieniem, że raczej ułaskawi mordercę lub złodzieja, niż tego, który wbrew ukazowi ośmieli się otworzyć dom kwartowy. Dowodzi to, że już w w. XVI produkcya wódki była znacznie rozwinięta w Rosyi. Za panowania Piotra I obok prywatnych istniały dość liczne gorzelnie rządowe. Sposób wyzyskiwania przez skarb przemysłu wódczanego był dwojaki: oddawanie w dzierżawę i wyzyskiwanie przez sam skarb. Dzierżawę częściową skasowano 1651 r., w 1663 zaś wskrzeszono ją na nowo z pewnemi ograniczeniami. Cesarzowa Katarzyna II przez ukaz z r. 1764 przywróciła znowu dzierżawę w całej rozciągłości, z zastrzeżeniem, że wódka będzie dostarczana dzierżawcom ze skarbu, który ją brał z gorzelni prywatnych. Warzenie piwa i miodu należało do rządu i dopiero Piotr II dopuścił osoby prywatne do tego przemysłu za pewną opłatą, od której wolne były tylko klasztory. Ukaz z r. 1740 zabronił patryarsze, archirejom i władykom klasztornym zajmować się wyrobem wódki, nawet na własne potrzeby. Katarzyna II r. 1777 zwolniła od opłat piwo i miód, warzone na potrzeby domowe przez szlachtę i obywateli ziemskich.

Z warunków propinacyi wiejskiej Księztwo przekazało Królestwu po r. 1815 co następuje: 1) Dobra, stanowiące własność prywatną lub też oddane na własność z szeregu dóbr narodowych, miały wolność propinacyjną piwowarstwa i gorzelnictwa, tudzież prawo do dochodów z tego źródła. Zyski owe uszczuplone były przez ciążące na nich opłaty i pobory skarbowe, niemniej stanowiły własność wyłączną właściciela. 2) Małe folwarki lub cząstki dóbr narodowych, przeznaczone w dzierżawę wieczystą bez propinacyi. 3) Także folwarki lub atynencye dóbr narodowych, puszczane w dzierżawę wieczystą, z prawem propinacyi i ciągnienia zysków z tego źródła. 4) Większe dobra narodowe, puszczane w dzierżawę sześcioletnią lub dłuższą, albo oddawane „dzierżawcom gorliwym“ w dzierżawę wieczystą, z prawem propinacyi, piwowarstwa i gorzelnictwa.

Dla wyrównania obrazu z epoki późniejszej, zajrzyjmy teraz do miast za czasów Księztwa. Jakeśmy już widzieli, w zeszłem stuleciu były trzy kategorye miast i miasteczek pod względem praw propinacyjnych. Pierwsza, tj. miasta stołeczne, pozostały w warunkach dawnych; druga (miasta i miasteczka królewskie) posiadała starostów (których pod rządem pruskim zamieniono przez *Stadtrathów*, później przez *Landrathów*), potem doczekała się prezydentów i burmistrzów. Kategorya trzecia (miasta dominialne) pozostała po dawnemu w ręku właścicieli dóbr przyległych, jako ich własność i źródło dochodów. Artykuł 67 ustawy konstytucyjnej, organizującej zarządy municypalne, tudzież oddającej w miastach władzę administracyjną burmistrzowi, czyli prezydentowi, pozostał bez zmiany za czasów Księztwa Warszawskiego. Bardziej tylko te przepisy rozwinięto w dekrecie Fryderyka Augusta z 23 lutego 1809 r., a przez takiż dekret z d. 24 marca tegoż roku, pociągnięto nietylko miasta do opłaty podatków istniejących, lecz obciążono nową opłatą patentową wszelkich zamieszkałych tam handlarzy, procederzystów i rzemieślników. Prywatne gorzelnie i browary na Pradze i w Warszawie, tudzież w innych miastach, pozostawiono nadal. Nie wszyscy atoli mieszkańcy miejscy mieli prawo trudnienia się wyszynkiem lub wyrobem trunków. Żydów stanowczo z tego przywileju wykluczono; ten zaś, ktoby się zgodził dać swoje nazwisko dla przykrycia żyda, podlegał odpowiedzialności karnej. W r. 1811 ustawa sejmowa wprowadziła nowe zasady opodatkowania. Mianowicie pociągnięto szynkarzy, karczmarzy, piwowarów, gorzelników, dystylatorów, kupców, hurtowników (składy win) do podatku osobiste-

go na rzecz skarbu publicznego, tudzież do opłaty czopowego, podwyższonego w stosunku do wymagań praw dawnych. Wymagano opłat miejskich nietylko od trunków ze wsi do miast przywożonych, lecz i nowej specyalnej opłaty patentowej, obciążającej wszelkich procederzystów i właścicieli fabryk w miastach. Wogóle za czasów Księztwa Warszawskiego stosunki propinacyjne w miastach zasadniczo się nie zmieniły. Do podatków dawniejszych przybyły opłaty patentowe, obracane w części na dochód kas miejskich.

W pierwszych latach istnienia Królestwa zaczęły się widoczne reformy. Już w lutym 1816 r. kasom miejskim dozwolono pobierać opłatę od piw zagranicznych i porteru. Pomimo utrzymania w swej mocy praw dziedzica, uchwalonych w konstytucyi sejmowej z r. 1778, w okresie od 1815—1864 zaszły zmiany w ogólnych stosunkach, dotyczących handlu i wyrobu trunków. W r. 1823 zamknięto w Warszawie i na przedmieściu Pradze wszelkie prywatne gorzelnie i dystylarnie. W tym samym roku zabroniono żydom, osadzonym na pustkach i innych gruntach w dobrach rządowych, trudnienia się wyrobem lub wyszynkiem trunków. Reskrypt zaś z 10 lutego 1824 r. wprowadza kary za wyrób i defraudacyę trunków do miast rządowych, w których „zaprowadzona jest lub będzie wyłączna sprzedaż trunków na rzecz skarbu publicznego.“ W dalszym ciągu obarczano opłatami różnych procederzystów (gorzelników, piwowarów, szynkarzy, dystylatorów wódek i likierów, fabrykantów miodu pitnego i propinatorów, handlujących trunkami zagranicznymi). Prawa te dotyczyły także miast prywatnych, ale opłaty owe szły na dochód miasta, na właścicieli dominialnych. Prawo z r. 1842 wprowadziło obostrzenie: kary za uchylanie się od obowiązku opłacania „kanonów“ (specyalny pobór od procederzystów na rzecz kas miejskich). Czopowe dawne było zniesione jeszcze przez dekret cesarza Aleksandra I, wydany w Trois 1 lutego 1813 r.; natomiast wprowadzone „konsensy administracyjne“ na prawo propinowania, nie zaspokoiły w zupełności potrzeb skarbu publicznego; produkcya zaś trunków wzrastała stale i widocznie. Wobec tego w r. 1844 wydano prawo, ograniczające wolność wyrabiania wódki i ustanawiające opłatę skarbową od jej fabrykacyi. Prawa z roku powyższego, rozwinięte następnie w reskrypcie z 16 maja 1848 r., wprowadziło zupełnie nowe ograniczenia. Wyrób wódki skrępowano terminem siedmiomiesięcznym w ciągu roku (od października do czerwca); okowitę wytworzoną w gorzelniach obciążono opłatą na rzecz skarbu (od $7\frac{1}{2}$ do 30 kop. od garnca, stosownie do wielkości gorzelni), samą zaś produkcyę poddano ścisłej kontroli. Otwieranie nowych gorzelni uzależniono potrzebą pozyskania na to odpowiedniego pozwolenia. Gorzelnie i gorzelani musieli posiadać konsensy, opłacane w kasach skarbowych (gorzelany 125, gorzelnie 150—600 rs.). Naczynia gorzelnicze podlegały cechowaniu. Pozwolenie na założenie gorzelni mógł otrzymać tylko właściciel, posiadający najmniej 20 włók pola ornego, folwarcznego i włościańskiego lub 20 domów mieszkalnych. W miastach rządowych i w promieniu $^1/_4$ mili zakładanie gorzelni całkiem wzbroniono. W końcu specyalne artykuły wymierzały kary za wszelkie wykroczenia przy wyrobie wódki. Po za tem wszystkiem dążąc do uregulowania spożycia, wprowadzono różne ograniczenia w zakresie handlu trunkami. Duchowieństwo, posiadające karczmy i szynki w obrębie obcej własności prywatnej, instytutowej lub wiejskiej, nie miało prawa zajmowania się bezpośrednio użytkowaniem z szynków i mogło pobierać coroczne wynagrodzenie pieniężne. Ustawa ta zniżyła trochę zyski przez wprowadzenie opłat konsensowych i opodatkowanie wódki, ale praw propinacyi właściciela nietylko nie naruszono, lecz przeciwnie, przepisy z 1848 r. wzięły w opiekę realności wszystkie, w których kilka osób ma prawo do propinacyi i uregulowały stosunki między tymi właścicielami.

Dnia 3-go stycznia 1851 roku zapadło prawo, wzbraniające wprowadzania z gubernij Cesarstwa do gubernij Królestwa i odwrotnie wszelkiego rodzaju wódki tudzież wyrobów z nich (wódek słodzonych, politury, lakierów spirytusowych, wody kolońskiej, anodyn). Roku 1854 nadano kasie miasta Kalisza prawo pobierania opłat od trunków, wprowadzonych do miasta. Roku następnego pozwolono kasie m. Warszawy na zmianę wysokości opłat konsensowych, pobieranych od trunków zagranicznych. Uchylono jednak te przepisy i wydano nowe (r. 1857), które handlujących trunkami zagranicznymi w Warszawie i na Pradze podzieliło na trzy kategorye i pociągnęło do opłaty na dochód miasta (150, 100 i 50 rs.). Dalej 28 października 1862 r. ukaz zmienił zasady prawa z r. 1848 i wprowadził opłaty podwyższone od wyrobu wódki. To są wszystkie ważniejsze zmiany prawodawcze. Od roku 1864 rozpoczął się szereg reform ogólnych w kraju, a za niemi z początkiem roku 1866 wprowadzono w guberniach Królestwa ustawę akcyzową z pewnemi ograniczeniami względnie do potrzeb i warunków miejscowych. W guberniach Cesarstwa obowiązywała ona od 1 stycznia 1863 r. Znacznie atoli wcześniej, bo od r. 1851 zastosowano specyalną ustawę akcyzową, dotyczącą wyłącznie wyrobów okowity w guberniach: wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, mińskiej, witebskiej, mohylewskiej, kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, czernihowskiej, jekaterynosławskiej, taurydzkiej, chersońskiej i okręgu besarabskim. Zamiast opłat gorzelanych, wprowadzono akcyzę od wywaru okowity ze zboża, dochód zaś od owej akcyzy oddawano w dzierżawę przez licytacyę osobom, składającym odpowiednią kaucyę; ale dzierżawa wyszynku i handel trunkami pozostały na dawnych warunkach, przyjętych ze stulecia przeszłego przez wiek niniejszy.

Z. P.

O PRAWDĘ.

*List do Redaktora „Prawdy“ w sprawie oceny p. Maryi Wąsowskiej *).*

Wybacz Szanowny Panie Redaktorze, że znów zajmuję łamy Twego cennego pisma polemiką, sądzę jednak, że „Prawda“, która wypowiedziała walkę wszelkiemu fałszowi i wszelkiej krzywdzie, nie odmówi w tym celu miejsca swemu współpracownikowi, który, obcy wszelkiej prywacie, walczył zawsze wiernie pod powyższemi godłami.

Dziwnem być może wyda się komuś, że niżej podpisany, nie będąc fachowym muzykiem, ani krytykiem artystycznym, występuje w sprawie, na której nie zna się na pozór. Pośpieszam więc przedewszystkiem usunąć to zdziwienie.

Krytyka przeciw której zamierzam tu wystąpić, zawierała trzy rzeczy, których ocena jest zupełnie dostępna dla niefachowca, a mianowicie:

1. Fakty nie odnoszące się bezpośrednio do muzyki; 2. Osobiste wrażenie krytyka; 3. Wnioski z wrażenia tego wyprowadzone, dotyczące psychologii artystki.

Otóż: 1. Fakty powyższe dadzą się łatwo sprawdzić za pomocą dokumentów drukowanych. 2. Wrażeniu osobistemu można przeciwstawić inne a liczne wrażenia osobiste. 3. Wnioski dadzą się sprawdzić prawidłami logiki oraz faktami z życia.

1. *Faktem* przytoczonym przez krytykę jest, że p. W. została „niewątpliwie wyszrubowana przez kuryery.“

*) Ob. artyk. p. Seliki „Z estrady“ *Prawda* N. 5. Z powodu obarczenia innemi pracami oraz z powodu trudności zgromadzenia wielu dowodów rzeczowych spóźniamy się nieco z niniejszą odpowiedzią, sądzimy jednak, iż na akt sprawiedliwości nie może być nigdy za późno.

Zobaczmy czy fakt ten jest prawdziwy, to jest zobaczmy jak kuryery odnosiły się do gry p. W. przed tem wysokiem uznaniem, jakie pozyskała w Berlinie.

Otóż pochwały *Kuryera warszawskiego* sprowadzają się do następującego typu: „p. W. musi być artystką utalentowaną skoro do współudziału w swym koncercie zdołała pozyskać tak znakomite siły warszawskie, jak pp. X, Y, Z.“ Jeżeli to ma być „szruba“ to w każdym razie chyba nie panny W.; jest to raczej znane nasze protekcyonalne lekceważenie osoby nie należącej do kliki. A więc może w *Kuryerze codziennym?* dobrze: tam znajdujemy znów takie „szrubki“ „siła nie dość spokojnie użyta *razi* zbyt ostrym akcentem...“ „śpiew traktuje artystka wogóle *bez głębokości*, bez czarujących a wdzięcznych niespodzianek, *bez tego czegoś*, co się określić nie da, a co przemawia do duszy.“ „Efektowność trzyma prym przed uczuciowością.“

I to wszystko ma być rzeczywiście „wyszrubowanie“? ależ to jest raczej owo „wybrakowywanie“ wyższych jednostek z pośród nas, o którem pisałem w art. „Trzeba mieć metodę“ (*Prawda* N. 1, 2), wybrakowywanie, a przynajmniej jego embryon, który w kuryerach został zduszony przez uznanie berlińskie, ale niestety został podjęty i rozwinięty w omawianej przez nas krytyce *).

Porównajmy teraz to warszawskie „wyszrubowywanie“ z krytykami zagranicznemi, które u nas tylko w jednym p. Bogusławskim miały poprzednika, a które nie są zbyt skłonne do zachwytu wobec polaków i wobec polskich utworów, jakie artystka na koncertach swych przeważnie grywała.

Vossische Ztg.: „In ihrem Spiel liegt *etwas* jugendlich gesundes und frisches“... „naturlich und lebhaft ist die Auffasung.“ *Berl. Börs. Ztg.* nazywa artystkę: „eine der *Besten* unter den jüngeren Pianistinnen“; z powodu zaś wykonania Chopina mówi iż on daje jej sposobność: „den ganzen Zauber ihres *seelenvollen* Anschlags zu entfalten.“ *Berl. Tagebl.* przyznaje „klares Erfassen der musikalischen *Gedanken.*“ „*Warme Empfindung.*“ „*Poetische* Vortrag“ i dodaje: „Der lebhafte Beifall des zahlreichen Publikums rief die Künstlerin *wieder holt* auf das Podium und entlockte ihr eine Zugabe“ itd. *Wiener Allg. Ztg.* mówi, że artystka „sich zweifellos als prima erwiesen hat.“ *Wiener Deutsch Ztg.* „Eine berufene *Meisterin* der Tasten, die in der Welt noch von sich reden machen wird.“ *Die Presse*: „Sie beherrscht auch *geistig* die Werke.“ *Wiener Extrbl.*: „Künstlerische *Indiwidualität* der jungen Dame eine *bedeutende* und dem *grossen Rufe* entsprechende ist.“ *Wiener Tagebl.* podnosi „ihre hervortretend *musikalische Natur.* Was sie spielt erscheint uns *nicht* als die Frucht *endloser Repetitions stunden.*“ „*Echte Musik gefühl* itd. i kończy „Die anmuthige Polin wird auf dem Wege, den so viele heute betreten in Bälde die *Meisten hinter sich zurücklassen.*“ *Posener Tagebl.* „*poesie volle, anmuthig-geistreiche Auffas ung.*“ *The Monthly Musical Record* mówiąc o dawniejszym koncercie artystki w Londynie, przyznaje jej „prawdziwie artystyczny temperament“ oraz „świetne wniknięcie w myśl kompozytora“ (Beethovena). Krytycy petersburscy (między innemi Sołowiew) przyznają artystce „polot, uczucie, poezyę, namiętny poryw,“ „feu sacrè“ itd. publiczność, która z początku przyjęła artystkę „zimno“ została „zelektryzowana“ i robiła jej „formalne owacye, w których przyjął udział sam Rubinstein.“

Tak więc krytyka europejska przyznaje pannie W. w wysokim stopniu te same zalety, których nasza krytyka kuryerkowa dawniejsza oraz krytyka p. Seliki stanowczo jej odmawia. Nie Warszawie zatem, nie *Kuryerom*, lecz zagranicy zawdzięcza p. W. swą sławę.

I czegóż to dowodzi, mówi p. Selika, oto, że krytycy całej Europy z Rubinsteinem, u nas zaś p. Bogusławski, a zapewne i niżej podpisany, są to bądź „wzięci na kawał,“ bądź najęci przez impresarya klakierzy!..

(D. n.).

Wacław Nałkowski.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Senat wyjaśnił, iż skarb winien ponosić odpowiedzialność cywilną za straty, wyrządzone przez urzędników osobom prywatnym, skutkiem nieprawidłowego pociągnięcia ich do odpowiedzialności sądowej lub nieprawidłowych aresztów na ich majątku w sprawach cywilnych.

— Ministeryum sprawiedliwości postanowiło wprowadzić zmianę w wynagradzaniu notaryuszów. Zamiast dotychczasowych dochodów na zasadzie wolnej praktyki, będzie ustanowiona pensya rządowa do 3,000 rs., z dodaniem pewnego procentu od podatku notaryalnego.

— Z Chicago donoszą, iż wiele fabryk zamknięto z powodu zaburzeń robotniczych. Dziesięć tysięcy ludzi zostało bez zajęcia.

*) Ta początkowa niechęć względem p. Wąsowskiej przypomina mi inną względem p. Wojcickiej, której mapa zyskała niejakie uznanie wtedy dopiero, gdy niemcy powiedzieli: „Karte findet allgemeinste Bewunderung.“

— Ogłoszono przepisy, przyznające obywatelstwo honorowe osobom, które nie posiadając praw wyższego stanu, mają dyplom na tytuł wolnego artysty, przyznany przez konserwatoryum muzyczne Cesarskiego Towarzystwa ruskiego.

— Rząd austryacki w porozumieniu z Węgrami wydał polecenie do zbadania sporu granicznego w Tatrach o Morskie Oko, przy udziale gometrów obustronnych.

— Powszechny spis ludności w państwie odbędzie się zimą r. 1895/96.

— *Woschod* ostrzega wychodźców przed oszustwami pewnych agentów przewozowych, sprzedających podrobione bilety okrętowe i inne dokumenty.

Szkoły. Do rozpatrzenia ministeryum oświaty podano plan ustawy mieszkań uczniowskich przy szkołach średnich i wyższych w miastach większych. Mieszkania, oddane pod dozór rad szkolnych, obowiązane będą posiadać kursy korepetycyjne.

— Dr. Ignacy Szyszyłowicz, prof. botaniki w wyższej szkole rolniczej w Dublanach, habilitował się na docenta botaniki w uniwersytecie lwowskim.

— Na mocy postanowienia ministeryum oświaty wkrótce rozpocznie się w Krakowie budowa dwóch gmachów na pomieszczenie wyższej szkoły realnej, i gimnazyum trzeciego.

Zdrowie publiczne. Z powodu ukazania się cholery w osadzie Przysucha, powiat opoczyński (gub. radomskiej) uznano urzędownie za niepomyślny pod względem zdrowotnym.

— Dn. 15 b. m. w szpitalu Dzieciątka Jezus znajdowało się 6 osób chorych na cholerę.

Zmarli. Stanisław Ludwik de Laveaux w Paryżu; artysta malarz, rodem z Królestwa Polskiego; kształcił się w Akademii krakowskiej i paryzkiej.

— Ludwik Pfau, w Stutgardzie, poeta i krytyk estetyczny.

— Filip Spitta, w Berlinie, profesor historyi muzyki. Znane są jego pióra życiorysy Bacha, Schumana tudzież historya opery.

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w sprawozdaniu teatralnem zamiast *Blizińskiego* powinno być *Bilińskiego*.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Апрѣля 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.